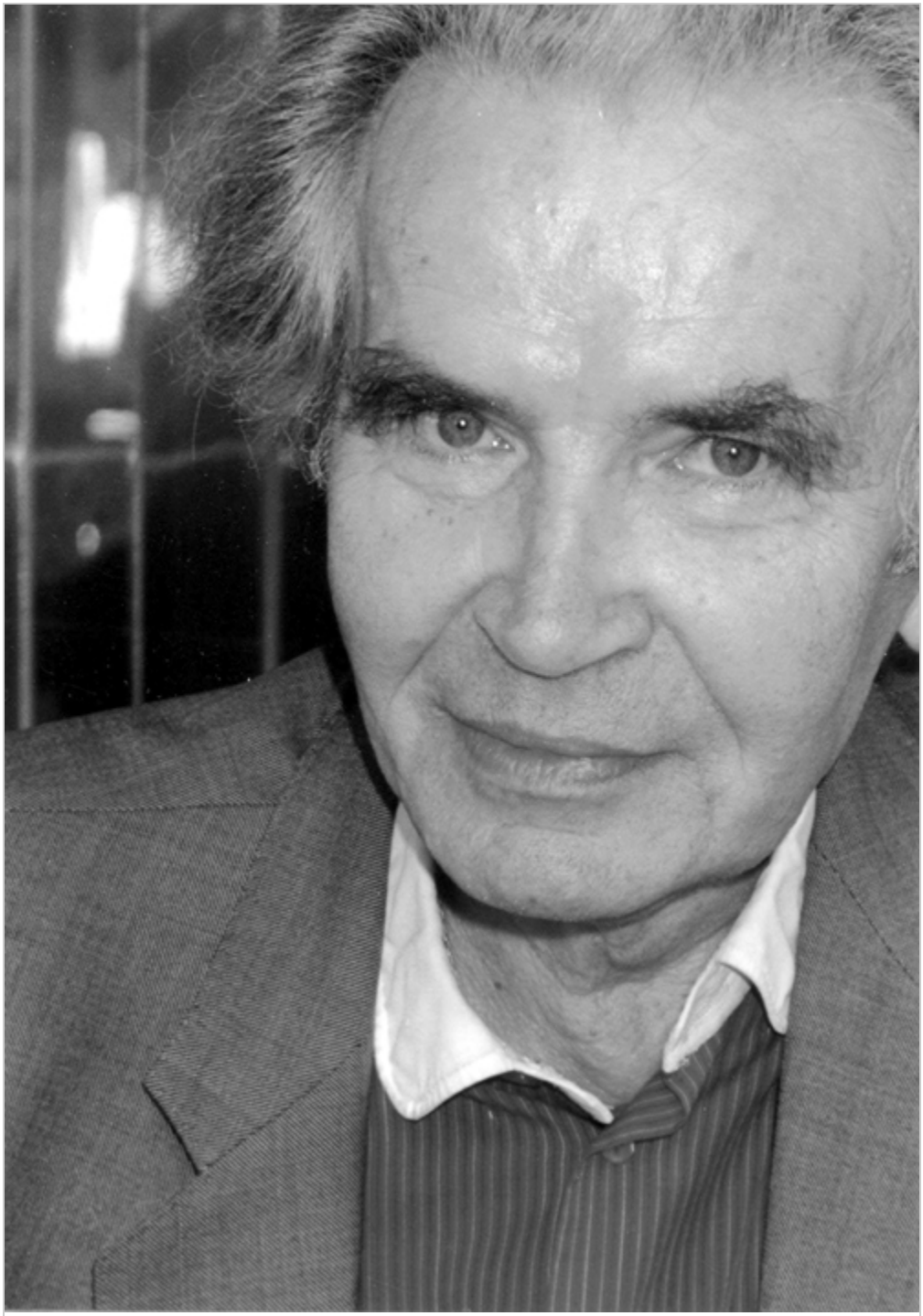
Arriba Silesia. Wspomnienie o Jerzym Pietrkiewiczu (1916-2007).



Jerzy Pietrkiewicz

Florian Śmieja

Przed wybuchem wojny w 1939 roku wydał zaledwie trzy zbiory

poezji lecz to wystarczyło, by stał się w ciągu kilku lat bożyszczem młodzieży polskiej i głośnym poetą wsi spod znaku autentyzmu rozumianego jako dawanie świadectwa prawdzie przeszłości.

Wszelkie ówczesne plany pokrzyżowała wojna.

Po euforii młodzieńczych sukcesów literackich, Jerzy Pietrkiewicz przez Rumunię i Francję poszedł na emigrację. Znalazłszy się w Wielkiej Brytanii boleśnie odczuł nie tylko tragedię swojej ojczyzny, ale również grząskość ideologicznych pól, na które się wmanewrował. Klęska, tułactwo, zbędność w nowej sytuacji, nieprzydatność w wojsku, spowodowały jego wycofanie się w samotnictwo. Człowiek dotknięty tylu naraz niepowodzeniami, mógł być po prostu załamany, lizać rany i pogodzić się z wegetowaniem na bocznym torze.

Jednak to nagłe strącenie ze świecznika w odosobnienie dało mu dystans dla kontemplacji dramatu świata, który go nie potrzebował, umożliwił natomiast przemyślenie psychicznej sytuacji, pozwolił wyciągnąć wnioski ze stawianych prognoz. Pocieszał się myślą, że przyszłość odkryje to, co choć słabe, można ocalić a pewien był, że doceni go jego mała ojczyzna że *Ziemia Dobrzyńska rozumie ważność tego co zrobiłem*.

Oto znalazł się niespodziewanie wśród innych uchodźców w

obcym kraju w nieznanym mu społeczeństwie, postanowił więc najpierw gruntownie poznać jego język. Dostał się na studia anglistyki na jeden z czcigodnych uniwersytetów szkockich w St. Andrews nad Morzem Północnym. Tam wśród młodzieży ubranej w efektowne, czerwone togi studenckie przygotowywał się do przyszłej roli pedagoga, którą miał przez kilkadziesiąt lat pełnić w Londynie ku chwale swojej profesji i dla dobra postradanej ojczyzny. Po obronieniu doktoratu na King's College w Londynie, uzyskał lektorat języka polskiego u profesora Williama Rose'a, następcy wielkich polonistów Juliana Krzyżanowskiego i Wacława Borowego.

Po powrocie profesora Rose'a do Kanady, jego stanowisko wykładowcy literatury polskiej ofiarowano młodemu Pietrkiewiczowi. Obiął je z wielkim poczuciem wagi eksponowanej pozycji w centrum świata anglosaskiego. Był świadomy obowiązku oferowania studentom świeżego i atrakcyjnego obrazu polskiej kultury, zwalczania niedobrych stereotypów z nią kojarzonych, wykorzystania nabytych na uczelniach brytyjskich doświadczeń i metod. Odciął się od staromodnych, słabą angielszczyzną wierszowanych, ale tradycją uświęconych romantyków i śmiało sięgnął po skarby rzadko docenione wydobywając zdziwionym studentom wartości nie spodziewane. Przemyślnie dobieraną lekturę eksponował pisząc wnikliwe szkice, które po latach złożyły się na intrygujący tom pięknych prezentacji literatury polskiej. W ten sposób

wyodrębnione zostały m.in. „Treny” Kochanowskiego, jako wyjątkowej wartości wczesny pomnik poezji słowiańskiej, „Pamiętniki” Paska, poezja religijna Zbigniewa Morsztyna, „Pałuba” Irzykowskiego, „Sól ziemi” Józefa Wittlina i poezja Norwida.

Tak oryginalnie prezentowana literatura polska była chwytliwa i atrakcyjna. Pietrkiewicz umiał nie tylko zainteresować, ale i oczarować okazując się znakomitym nauczycielem i pośrednikiem, stał się jednym ze znaczących świateł, które w neuralgicznych punktach świata potrafiły rozniecić poważne zainteresowanie polską kulturą, podobnie jak to robili Lednicki, Terlecki, a poźniej Miłosz w Stanach Zjednoczonych. Tak jak oni, wychował zastęp ludzi gotowych nieść pochodnię, przygotował doskonałych tłumaczy. Pokazał zasadność obsadzania nielicznych placówek naukowych na Zachodzie jednostkami wyjątkowymi, które zostawią znaczący ślad swojej osobowości.

Po uzyskaniu doktoratu i zapewnieniu sobie stałego stanowiska wykładowcy na Uniwersytecie Londyńskim, Pietrkiewicz ustabilizował sobie życie związawszy się z Christine Brooke Rose, wybijającą się anglistką i pisarką. Mając takie oparcie, pokusił się o przejście na język angielski. Pamiętam, kiedy wydając powieść „The Knotted Cord”, oświadczył mi, że od tego momentu stał się pisarzem angielskim. Zaczął znamienny epizod pisania powieści w języku przybranym. I tak powstało osiem

powieści, częściowo eksperymentalnych, w języku angielskim. Pierwsza „The Knotted Cord" wiele zawdzięczała jego wojennej powieści „Po chłopsku".

Na ogół dobrze przyjęte przez krytykę angielską, która pochwaliła język jako poetycki, może nieco wydumany, dostrzegła humor i techniczną subtelność. Niektórzy Polacy obrażali się, że ich wyśmiał w „The Future to Let". Pochlebnie porównywany do Conrada autor realizował swoje marzenie, by mieć czytelnika, w tym wypadku, brytyjskiego. Zwierzał się, że lubił chodzić do czytelni publicznych i zaglądać do swoich książek, by czytać komentarze, które niektórzy czytelnicy pisali na marginesach książki. Wierzę, że była to pomocna korektura uczonych wywodów krytyków, z którymi Pietrkiewicz dyskutował w radiu i literackich żurnalach.

Chociaz stosunki Pietrkiewicza z władzami emigracyjnymi nie zawsze układały się pomyślnie, mimo, że atakował on je w swoich wypowiedziach, czuł potrzebę odwzajemniania niechęci, to po upływie czasu potrafił docenić walory duchowe swych niegdysiejszych adwersarzy i krytyków.

W czasie wieczoru autorskiego na naukowej konferencji w Toruniu w roku 2000 powiedział m.in.:

> Ja wyróżniam w ciele emigracji emigrację wojenną, ta stworzyła instytucje, owe instytucje dalej istnieją. Owszem, były kłótnie, bo Polacy się zawsze kłócą – napisałem satyryczną powieść o tym, ale ona potwierdza coś niebywałego w tych ludziach. Że kiedy mają opuścić tę ziemię, nie odchodzą jako niewolnicy. Nie są przegrani, oni wygrali. I to jest bardzo ważne. Reszta emigracji jest przypadkowa, zarobkowa i inna, co nie znaczy, że ja jestem przeciwko niej, niech ona będzie! Ale nie łączmy tych dwóch rodzajów emigracji, granica podziału jest bardzo wyraźna. Emigracja wojenna wiedziała czego chce.

Jeden z nowatorskich poetów polskich Pietrkiewicz jest również autorem frapującej opowieści o polskich mariawitach „The Third Adam", wydanej przez Oxford University Press oraz odkrywczych, krytycznych esejów literackich „The Other Side of Silence". Okazał się też doskonałym tłumaczem poezji Jana Pawła II na język angielski.

*

Poznałem Pietrkiewicza w 1946 roku w londyńskim British Museum. W latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w School of Slavonic and East Europea Studies. Potem pozostaliśmy w sporadycznym kontakcie korespondencyjnym do

końca.

Kiedyś na widokówce z Hampstead Pietrkiewicz napisał:

> Florianie Drogi, jakie to miłe, że napisałeś ze Śląska…Widzisz, te powroty do źródeł są ważne, bardziej sprawdzalne w psychice, niż freudojungowe rebusy wedle mody (moda mija).

Przed wojną odwiedził Katowice, gdzie poznał śląskich pisarzy z Wilhelmem Szewczykiem na czele. Jeszcze w Londynie w 1964 roku otrzymałem od Pietrkiewicza przesyłkę z adnotacją *załączam wycinek o Szewczyku (z 1946) – może Pan go przekazać Szewczykowi jeśli Pan zechce*. Na wieść, że chcę pisać o Szewczyku, replikował:

> Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta.

Ślązakowi śląskie anonimy polecam nakreślił na nadbitce z

czasopisma „Eos” z zacytowanymi pieśniami ze Śląska Cieszyńskiego.

W 1996 roku jego pocztówka donosiła:

> Dzień przed Twoim listem, dostałem też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał że chodziliście do tej samej szkoly w Tarnowskich |Górach. Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, to od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz. Stąd moje zaufanie do Ciebie niezmienne. Arriba Silesia.

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

> Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wrócić do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny, Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do

> 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół był przepełniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80 lecie…
>
> Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna", „Ballady dobrzyńskie", „Piąty poemat" w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja" była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak ładnie się wokół mnie zamykają.

Ze wspomnieniami o Pietrkiewiczu uczestniczyłem w konferencji w Toruniu. Napisał:

> Cieszę się, że byłeś na konferencji- to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat. Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie przez Giedroycia w

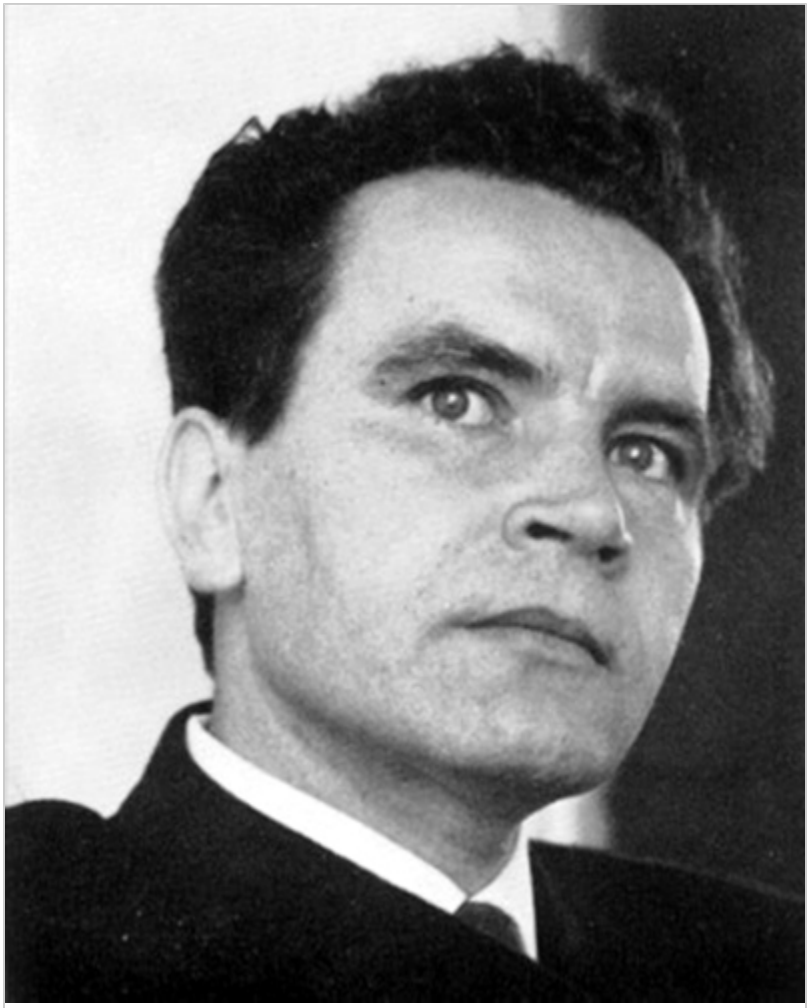
pożegnalnym numerze rozmowy Bolesława Taborskiego ze mną na temat tej konferencji.

> Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.
>
> *

Urodzony w Fabiankach na Kujawach w 1916 roku, zmarł w Londynie w 2007 roku. Spośród nagród i odznaczeń najbardziej, sądzę, cenił sobie doktorat honorowy swojej szkockiej uczelni.

Druga strona milczenia

Jerzy Pietrkiewicz



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Arch. Emigracji.

Rozdział III

Dojrzali poeci wobec czynu

(fragment)

1.

Byłoby naiwnością sugerować, że dotrwanie poety do wieku dojrzałego oznacza koniecznie przetrwanie w nim doskonałego artysty. Ogólnie rzecz biorąc, poeci drugorzędni mają więcej szans na dostosowanie swoich zdolności do nowych warunków tworzenia, które wymagają mniej czarodziejskich zaklęć, a więcej umiejętności warsztatowych. Nie ulegają łatwo pokusie popadania w zadumę i służenia ideałom. Oczekują zapłaty za swój trud w postaci wyboru do jakiejś literackiej akademii albo nagrody literackiej z okazji jubileuszu dwudziestopięciolecia lub pięćdziesięciolecia twórczości poetyckiej.

Istnieje jednak inna, bardziej interesująca droga, którą może pójść dojrzały poeta. Pokusy, jakim musi stawić czoło, odwodzą go od uprawiania sztuki, a najsilniejszą z nich jest oddanie się na służbę jakiejś wielkiej sprawie. Wtedy poeta ma już wystarczająco dużo doświadczenia, jest też na tyle ostrożny, aby nie nadużywać swego pióra, a swoją niewiarę we wszelkie retoryczne deklaracje oprzeć na czasowym odrzuceniu poetyckich zaklęć. Jednocześnie jego reputacja dostarcza mu wiarygodnej wymówki do tego, by zaprzestać pisania. Oddaje się on wówczas aktywnej służbie. Gdyby jacyś ludzie zaczęli spoglądać na niego jak na umarłego poetę, nie poczułby się obrażony. Określenie „poeta, który padł w boju”, nawet w ujęciu metaforycznym, wydaje się mu całkiem do przyjęcia.

Dziewiętnastowiecznym poetą walki, człowiekiem, który zamienił

płaszcz romantycznego podróżnika na żołnierski mundur, był Byron. Nie miało znaczenia to, że nie zginął w boju; do heroicznego mitu przeszła już sama nazwa greckiego miasteczka Missolongi, w którym zabiła go gorączka reumatyczna. Tym, co się liczyło, były jego szlachetne intencje. Wielu jego wielbicieli spoza Anglii znało tylko nieliczne szczegóły, dotyczące okoliczności jego śmierci; w ich oczach była to śmierć bohatera. Bo też gest Byrona w niczym nie przypominał postawy, jaką przyjęło wielu poetów-dziennikarzy, propagandystów „słusznej sprawy", nadsyłających w okresie hiszpańskiej wojny domowej sprawozdania z linii frontu. Najbliższym odpowiednikiem losu Byrona w tym stuleciu (tj. w XX w. – przyp. tłum.) byłaby śmierć Ruperta Brooke`a w drodze na Dardanele: pogrzeb tego poety na Skyros, wyspie Achillesa, otoczył mityczną aurą jego wojenne sonety.

Dnia 22 stycznia 1824 roku, w swoje trzydzieste szóste urodziny, Byron napisał ostatni znaczący wiersz, będący psychologicznym kluczem do zrozumienia jego aktywnego życia. W nastroju niewątpliwej szczerości pyta w nim o słuszność swych pasji. Każda ze strof mówi o emocjonalnym wyczerpaniu poety, które jednakże nie wydaje się być zwykłym, romantycznym rozmarzeniem. Przeciwnie, uderza czytelnika jako próba dokładnego opisu następujących po sobie stanów ducha poety w sytuacji, gdy w nagłym olśnieniu pojmuje on znaczenie kolejnych wyborów. (…)

Pragnienie śmierci sięgnęło tu szczytu, ale tym razem owa „na polu walki… śmierć chwalebna” oznacza zarówno zrozumienie znaczenia historycznej chwili, jak i bardzo osobiste poczucie obowiązku. Grecja jest dla Byrona czymś więcej niż tylko sprawą, za którą poeta walczy, tak jak jego poczucie obowiązku wykracza poza granice jego osobistych wyborów. Wie, że nie istnieje nic, co zdołałoby precyzyjnie określić jego wygasłe namiętności. „Robactwo, rak i cierpień moce – to mnie ogarnie!” Nie ma żadnej retoryki w tym stwierdzeniu kończącym drugą strofę. W szóstej („chwała i Grecja”) i w siódmej („Zbudź się, mój duchu!”) Byron wraca do techniki magicznych zaklęć; jest to pozbawiony szczerego entuzjazmu skok ku ekstazie, nieprzekonywający w każdym z użytych tu wykrzykników. Rzeczywista walka nie potrzebuje ostróg w postaci słów, musi stać się faktem godnym upamiętnienia, i Byron dobrze o tym wie.

Ponieważ czynne działanie oznacza wyjście poza poezję, choćby było to tylko chwilowe narażenie się na niebezpieczeństwo, odciąga ono Byrona od retorycznych rozważań o śmierci i stawia go w obliczu chwalebnej rzeczywistości jego własnego końca. Można więc spojrzeć na „żołnierski grób”, za którym goni, jako na oczywistą konsekwencję prowadzonej przez niego walki, a także jako na sąd potępiający *in absentia* całą poezję. Zwrot „w żołnierskim tylko grobie szukaj posłania” jest wciąż retorycznym tylko żądaniem przy końcu wiersza; rzeczywisty wybór przyszedł o wiele wcześniej, wraz ze zrozumieniem dwoistego sensu

historii i obowiązku, z uświadomieniem sobie, że ta pierwsza nie urzeczywistni się bez tego drugiego.

A jednak to grecki epizod ostatecznie uchronił poezję Byrona od wrogiego krytycyzmu i nieprzychylnego grzebania w życiorysie poety. Bez względu na to, jak często krytycy przypisywali nieszczerość pisarstwu Byrona, jego śmierć w Missolongi uwolniła przynajmniej niektóre poematy od uwłaczających oskarżeń. Uratował on swe poetyckie oblicze w oczach tych, którzy nie umieją oddzielić biografii pisarza od jego twórczości. Ten pozytywny wyłom pozwolił na poszukiwanie Byrona-poety także w innych jego dziełach. Przedmiotem pochwał są dziś jego „Vision of Judgement" i „Beppo", a wirtuozeria „Dona Juana", zawsze zresztą doceniana, przypisywana jest, niezależnie od warsztatowej zręczności, poetyckiej wyobraźni autora. (…)

Kuszące byłoby przeanalizowanie, czy w ostatecznym rozrachunku istnieje takie zjawisko, jak poetyka walki, rzucająca tak budujący blask na poetykę słów, że wcześniej napisane dzieła, nie mające z tą walką żadnego związku, zdają się odbijać ją mimo wszystko, zyskując w ten sposób na swoim znaczeniu. W jakim stopniu instynkt poety, podpowiadający mu zaangażowanie się w godnej upamiętnienia walce, bierze w istocie w obronę jego zagrożone dzieła, które mogą zostać zignorowane przez przyszłe pokolenia?

Jeśli Byron odczuwał potrzebę stworzenia heroicznego mitu własnej osoby, musiał też zdawać sobie sprawę ze słabości swej sztuki.

2.

Postanowienie Adama Mickiewicza, aby stać się człowiekiem czynu, przypominało decyzję Byrona. Podobnie nieoczekiwany był jego skutek. Mickiewicz zmarł w roku 1855 w Konstantynopolu na cholerę, a nie od rosyjskiej kuli. W czasie wojny krymskiej zaczęto formować polski legion i Mickiewicz udał się do Turcji, aby pomóc w jego organizowaniu i wypróbować samego siebie w bezpośredniej, patriotycznej akcji. Tego pięćdziesięciosiedmioletniego wówczas, przedwcześnie postarzałego człowieka, można by określić bez żadnej niechęci jako umarłego poetę, który od dwudziestu lat nie napisał dosłownie nic. Był w tym okresie wykładowcą, najpierw w szwajcarskiej akademii w Lozannie, potem w College de France. Wydawał też w języku francuskim tygodnik („La Tribune des Peuples"), a wreszcie został bibliotekarzem, która to posada była skromną synekurą. Mimo iż decyzja udania się do Turcji wynikała z jego politycznej działalności, osoby wspierające jego misję (takie jak książę Czartoryski czy Zamoyski) nadal widzieli w nim narodowego barda, być może niewygodnego pod pewnymi względami, pod innymi jednak jak najbardziej użytecznego dla propagowania sprawy polskiej. Liczyło się jego nazwisko.

Bez swych poetyckich osiągnięć w przeszłości Mickiewicz byłby mało wartościowym nabytkiem dla sprawy. One właśnie dały mu duchową legitymację do podjęcia czynnych działań. I podobnie jak Byron, którego podziwiał i tłumaczył, odczuwał potrzebę dostosowania świata swej wyobraźni do wymiarów praktycznego działania. O ile można sądzić na podstawie dokumentów, nie dorównywał Byronowi pod względem zdolności organizacyjnych. Także jego osobisty magnetyzm nie pozwoliłby mu na odniesienie sukcesów przywódczych, jakie stały się udziałem angielskiego poety. Miał jednak pewne doświadczenie w prowadzeniu zakulisowej polityki w okresie rewolucyjnego zamętu roku 1848. Dowodził legionem polskim we Włoszech, na rzecz którego agitował nader skutecznie, ale jednostka ta, pod względem liczebności, była bardzo skromnym przedsięwzięciem. W istocie, nawet wspomnienia sympatyzujących ze sprawą świadków nie były w stanie ukryć rozczarowania na widok maszerujących legionistów. Niejaki G.A. Cesano zanotował, jak to pierwszego maja 1948 roku koło Porta Romana w Mediolanie zgromadził się tłum, aby uczcić polskich żołnierzy. Zamiast legionu ujrzano postarzałego człowieka, za którym szło jedenastu ludzi, w tym jeden garbus. Wzruszającym dowódcą kroczącym na czele był oczywiście Mickiewicz. Jeśli przemarsz ten ilustrował pogardę poety dla rzeczywistych faktów, które inni ludzie mogli zmierzyć własnymi oczami, to wyzwanie to nie miało dość siły, aby przydać romantycznej otoczki późniejszym wspomnieniom, kiedy doszło do ich spisywania.

W jakim stopniu Mickiewicz zapamiętał ironiczną lekcję 1848 roku? Czy postanawiając udać się do Turcji rzucał wyzwanie samemu sobie?

O wiele ważniejszym przy ustalaniu motywów, jakimi się kierował, wydaje się być powracający w jego utworach motyw dynamicznego działania, stawiający zawsze głównych bohaterów w jakiejś kłopotliwej moralnie sytuacji, czy będzie nią patriotyczna zemsta poprzez zdradę, jak w „Konradzie Wallenrodzie", czy ukrycie się pod zakonnym habitem przez człowieka, pragnącego okupić patriotycznym czynem dawną winę, jak w „Panu Tadeuszu". Bohater musi przejść całkowitą transformację, począwszy od przyjęcia nowego imienia i nowych szat. W każdym jednak przypadku transformacja ta nie może dojść do skutku bez bezpośredniego udziału w jakiejś akcji. Zły uczynek, jakkolwiek okupiony przez poświęcenie, musi zostać w końcu zrównoważony skalą podjętego działania. Na przykład, Jacek Soplica w „Panu Tadeuszu" nosi habit mnicha i żyje w ubóstwie, ostatecznie jednak stawia czoło, jak na początku, niebezpieczeństwom prawdziwej bitwy.

Kiedy natomiast, jak w dramacie „Dziady", *alter ego* autora otrzymuje jednoznaczne upostaciowanie, bohater okazuje się być poetą i znowu otrzymuje imię Konrad. Wypróbowuje potęgę swego słowa rzucając w nadprzyrodzonej sferze ducha wyzwanie Bogu, będąc w świecie rzeczywistej walki więźniem oczekującym

zesłania. Bezczynność narzucona tu człowiekowi czynu ma z pewnością znaczenie symbolu.

Można się zastanawiać nad tym, czy Mickiewicz doprowadziłby przenikniętą poetyckim duchem osobę Konrada do końca dramatu. Czy oddzieliłby całkowicie od poezji, to znaczy od iluzorycznej potęgi słowa, finałową scenę odkupienia? Wskazuje na to jeden fakt: dramat jest niedokończonym dziełem nie dlatego, że tak został pomyślany, zgodnie z romantyczną modą na pozostawianie arcydzieł jako monumentalnych rumowisk. Mickiewicz pragnął, aby „Dziady" były jego głównym dziełem, faustowskim wyrażeniem jego własnego życia. Cenił je wyżej od wszystkich innych swoich utworów. Nawet w okresie jałowych lat po napisaniu „Pana Tadeusza" wracał do „Dziadów", uzupełniając je scenami, które potem zniszczył. Dramat był najwyraźniej pomyślany jako integralna całość, i to mimo pozornej przypadkowości numeracji poszczególnych części i fragmentów. Pragnął go dokończyć, ponieważ był on tak jednolity pod względem duchowej koncepcji, i świadomość, że jego wyobraźnia odwróciła się od tego dzieła, musiała być dla poety źródłem rozpaczy.

Pozostaje jednak znaczącym faktem, że pozostawił „Dziady" niedokończone, i bez względu na to, jakie powody można przypisać temu niepowodzeniu, pozostaje ono w związku z decyzją podjęcia czynnej walki, która, być może nieświadomie,

była jednoznaczna z wybraniem śmierci przez poetę od dawna już umarłego. Jeden z jego późnych liryków, napisany w Lozannie, rozpoczyna się od słów: „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada”. Nie jest to makabryczny początek romantycznej ballady, ale osobiste wyznanie. (…)

3.

Poetą, który w nowszych czasach zdał sobie w pełni sprawę z ograniczeń, jakie poezja liryczna narzuca czynnemu działaniu i na odwrót, był Yeats. Bez reszty angażował się on w walkę o narodową kulturę i niezależność polityczną Irlandii. Z powodzeniem walczył o stworzenie irlandzkiego teatru. Podziwiał politycznych aktywistów Johna O`Leary i Maude Gonne, identyfikował się też z buntami wielkanocnymi 1916 roku. Jeśli marzycielski bard także ma wziąć na siebie odpowiedzialność, to tytuł „Responsibilities” jest dla Yeatsa bardzo znamienny. Ale kryzys, który dotknął go w wieku dojrzałym, dotyczył poetyckiego stylu. Yeats żył jednak wystarczająco długo, aby spojrzeć trzeźwo na swoje poprzednie rozczarowania. Bo mimo wszystko historia dogoniła jego marzenia. Niedługo po tym, gdy zawołał z poirytowaniem: „Moje marzenia wyczerpały się” [4]/, Irlandia zdobyła status wolnego państwa, a on sam został w tym samym 1922 roku senatorem.

> Gdy tu wróciłem – pisał w styczniu 1923 roku do Roberta Bridgesa – okazało się, że mam zasiadać w Senacie, który wprawdzie nie łamie porządku moich poranków, kiedy piszę wiersze i tym podobne rzeczy, ale zabrał mi sporą liczbę popołudniowych godzin, w których piszę listy.

Od czasu do czasu zabierał głos na posiedzeniach Senatu. W roku 1926 zgodził się przyjąć funkcję przewodniczącego komisji, która miała służyć doradztwem w sprawie nowych monet dla irlandzkiego państwa. Odrzucił jednak stanowiska w służbie publicznej, nie bacząc na ich ważność. Czynne działanie przestało być dla niego alternatywą dla pisania. Nie mogło zresztą kusić go zbytnio w sytuacji, gdy zostało zredukowane do poziomu bieżących, codziennych spraw. Wtedy właśnie rzemiosło barda zażądało od swego dawnego adepta skorygowanego rachunku. Wydaje mi się przy tym rzeczą nieistotną, czy Yeats podjął to odmładzające przeobrażenie, żeby oszukać swój wiek, czy też samą poezję. Na nowo wszakże uświadomił sobie dylemat, przed jakim stoi artysta, wyrażony przez niego jeszcze w roku 1910. (...)

Jeśli od bezpośredniego udziału w codziennym życiu, rozumianego zarówno jako wewnętrzna potrzeba, jak i swego rodzaju służba, ważniejsze okazuje się przyzwyczajenie poety do mozolnego trudu składania wierszy, to pokusa aktywnego

udziału w jakiejś misji zostaje zredukowana do pozornego tylko obowiązku i przestaje być naglącym nakazem.

W tym świetle powinno się, jak myślę, lepiej rozumieć kryzys zaangażowania, jaki objawił się w okresie powojennym. Poeci dojrzeli naraz, jeden po drugim, prawdziwe mechanizmy powstawania różnych ideologii, w większości błędnych i dlatego skazanych na upadek. I jeśli poeta działał kiedyś, jako naiwny wyznawca, zastraszony neofita albo płatny propagator, taka działalność mogła napełnić go tylko obrzydzeniem. W całej wschodniej Europie po śmierci Stalina ci, którzy byli piszącymi aktywistami, wyrzucili z siebie całą swoją odrazę do słów jeszcze większą lawiną słów. A sztuka pisania wierszy, nawet gdy brakło jej natchnienia, wydała się znowu godna szacunku. Nie istniała już groźba jakiejś wzniosłej, mglistej alternatywy: komplet narzędzi czekał, żeby je chwycić do ręki.

4.

Rozważania z poprzednich stronic mogą dać wrażenie, że dojrzały poeta skazany jest na rozczarowanie czynnym działaniem zawsze wtedy, gdy służy mu ono jako potencjalne lekarstwo na twórcze udręki. Nie odbiera to jednak wartości doświadczeniom, zdobytym w trakcie jego uprawiania, choć mogą one dostarczyć jedynie dowodu na iluzoryczność poezji. Doświadczenie jest niewątpliwym zyskiem. To, czy jest ono w

stanie uodpornić poetę, nie jest już takie pewne.

Bo zamiast posłużyć jako środek na „wyleczenie” z poezji, może zakiełkować nową poetycką gorączką. Obok rozczarowanego czynną działalnością Yeatsa staje nowy Yeats, poeta pełen namiętności i gniewu, przemawiający głosem nawiedzonego. Nie zamierzam tu kwestionować tego rodzaju doświadczenia. Nie próbuję też dyskwalifikować poety, a zarazem czynnego działacza, za brak konsekwencji. Chcę tylko podkreślić wagę samego doświadczenia, które, jakkolwiek może być czynnikiem odradzającym, nie odsłania innego oblicza poezji. Ignoruje ono potrzebę zachowania milczenia, tak jak młodość ignorowała potrzebę posiadania doświadczenia.

Po czym możemy poznać poetę, który jest o krok od wejścia na niewidzialną ścieżkę, prowadzącą ku krainie milczenia? Wydaje się on człowiekiem doskonale przystosowanym do życia w społeczeństwie, osiągnął pełnię męskich lat, ma za sobą sukcesy. Mimo wszystko zaprzeczy on jednak zarówno swym artystycznym, jak i społecznym osiągnięciom, kierując się ku tamtej stronie. Tym, co naznacza go w sposób wyraźny, jest jego rozczarowanie zdobytymi doświadczeniami.

Jerzy Pietrkiewicz: Druga strona milczenia, Oficyna Wydawnicza “Agawa”, Studium o poezji polskiej i europejskiej XIX i XX w., przełożył: Jan Jackowicz.

Kolekcja z Pańskiej Łaski



Lesław Kukawski, fot. Mariusz Szwarz.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Lesław Kukawski od dziecka interesował się kawalerią. Urodził się we Lwowie w 1930 r. Mieszkał niedaleko koszar 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Po zakończeniu kampanii wrześniowej nie trudno było o wojskowe akcesoria, czapkę, hełm czy oporządzenie. Wtedy narodził się początek kolekcji. Młody wówczas chłopiec zgromadził pokaźny zbiór wojskowych akcesoriów, ku ogromnemu przerażeniu mamy i babci. Jedną z pierwszych pamiątek w kolekcji był krzyż niepodległości, nadany pośmiertnie wujowi legioniście, a przechowywany podczas okupacji przez babcię w wazoniku. Rodzina L. Kukawskiego wyjechała ze Lwowa w 1944 r. i osiedliła się w Krakowie.

Przyszły właściciel zbiorów wybrał studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W 1950 r. rozpoczął pracę w państwowych stadninach. Tu poznał wielu byłych kawalerzystów, takich jak Karol Rómmel, Adam Królikiewicz, Henryk Roycewicz.

Mieszkał w Trzciance k. Poznania, w majątku Pańska Łaska. Przez wiele lat prowadził 25-hektarowe gospodarstwo rolne i zajmował się hodowlą owiec. Prawdziwy „Dziedzic" jak nazywali go koledzy. Wiele lat był prezesem poznańskiego oddziału Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy, współpracował z muzeami, występował z odczytami na sesjach naukowych, prowadził ogromną korespondencję, pisał artykuły. A zbiory ? – Właściwie to zrobiły się same – mówił – Czasami sam

się zastanawiam skąd to się wszystko wzięło.

Kolekcja z Pańskiej Łaski początkowego miała być zbiorem kawaleryjskich pamiątek, uratowanych przed zniszczeniem w czasach PRL-u. Potem utworzyło się z nich duże prywatne muzeum. Zbiory zawierają m.in. mundury – ubiór garnizonowy, służbowy, wieczorowy. Poszczególne elementy ułańskiego stroju często pochodzą z różnych stron i trafiły do kolekcji w najrozmaitszych okolicznościach, ale w efekcie mundur jest kompletny. I tak np. ubiór garnizonowy oficera kawalerii składał się z kamgarnowej lub gabardynowej kurtki, bryczesów, długich butów z przypiętymi do nich ostrogami, brązowych skórzanych rękawiczek i pasa. Na kołnierzu kurtki naszyte były proporczyki w barwach pułku oraz wyhaftowane srebrne wężyki. Podczas służby obowiązywało noszenie szabli i pistoletu. Określony regulaminem był również strój wieczorowy oficera kawalerii. Składała się na niego kurtka z odznaczeniami i jedwabne rapcie do szabli. Do tego tzw. szasery czyli długie granatowe spodnie z lampasami i sztyblety – trzewiki z cholewką, a na obcasie z gładkimi ostrogami. Do stroju wieczorowego należały ponadto białe zamszowe rękawiczki i jedwabny, podszyty irchą pas z posrebrzaną klamrą, na której był wizerunek starożytnego wojownika. – Najwięcej mam kłopotu z elementami wyposażenia szeregowego ułana – mówił Lesław Kukawski. – Oficerowie i podoficerowie posiadali prywatne mundury i siodła. Zachowały się one, ponieważ zostały w domach. Natomiast szeregowi i

rezerwiści mieli przydziałowe wyposażenie. Magazyny przejęli okupanci, a żołnierze sprali, zniszczyli, znosili swoje stare mundury. Podobny problem jest z butami, to są szalone rzadkości. Pokaźną kolekcję stanowią też ordery i emblematy, sztandary, proporce i buńczuki, siodła i całe końskie oporządzenie oraz bardzo duży zbiór fotografii, na których widać kolejnych dowódców poszczególnych brygad czy sceny z życia pułkowego.

– Czasami dziwią się koledzy, że tak dużo płacę za, wydawałoby się, nieistotny drobiazg. Tak było w przypadku legitymacji płk. Brzezowskiego. Ale w zbieractwie ważne są pewne całostki: komplet odznaczeń po jednej osobie, komplet dokumentów. Więc, zamknąłem oczy i kupiłem.

Kolekcja z Pańskiej Łaski ma niewiele białych plam. Właściciel w większości przypadków wiedział, do kogo należał mundur, czy odznaczenie, kto nosił taki, czy inny emblemat. I co stało się z żołnierzem, zginął w walce, umarł po wojnie czy żyje do dziś. Np. długi frencz z beretem, baretkami i odznaką pułkową należał do rtm. Wierzbowskiego z Pułku Uranów Karpackich. Były rotmistrz mieszkał w Kapsztadzie. Będąc kiedyś w Polsce, odwiedził Pańską Łaskę, a po powrocie przysłał swój mundur. Kilka odznak, sznurów i naramienników z własnego munduru podarował dowódca 16 Pułku Dragonów płk. Wejtko, mieszkający w Kanadzie. W zbiorach znalazł się też pas należący

do twórcy legionowej kawalerii Władysława Beliny-Prażmowskiego. W czasie II wojny światowej, jego żona wysłała kufry z rzeczami z Krakowa do Lwowa. Kufry zginęły, a pas się zawieruszył i po wojnie trafił do kolekcji.



Lesław Kukawski (z prawej), fot. Mariusz Szwarz.

Ważnym śladem po polskiej kawalerii są również sztandary, proporce, buńczuki. Jeden z proporców właściciel kolekcji dostał od nieżyjącego już płk. Łękawskiego. – Łękawski zaczynał służbę wojskową w II szwadronie Legionów Polskich – mówi Lesław Kukawski. – W 1915 r. był jednym z 63 uczestników szarży pod

Rokitną. Potem dowodził 3 szwadronem 2 pułku szwoleżerów. Dawniej każdy dowódca miał swój proporzec wożony za nim na lancy. Gdy ujednolicono proporce dowódców w całej kawalerii, ten wycofano. Pułkownik zachował swój proporzec na pamiątkę, a w czasie, kiedy przebywał w oflagu, przechowała go żona. – Wiem, że nie ma drugiego takiego proporca, bo 3 szwadron byt tylko jeden – dodaje kolekcjoner. Właściciel kolekcji zgromadził na temat ułańskich znaków dużą wiedzę. Najtrudniej jest odtworzyć dany element, jeśli nie istniał przepis regulujący jego wielkość, barwę, rozmiar. Tak było w przypadku buńczuków – dawnego znaku władzy wojskowej. Był to koński ogon, umocowany na drzewcu zakończanym złoconym grotem. W kawalerii buńczuk uważano za wysokie wyróżnienie i cenioną nagrodę. Otrzymywał go w brygadzie pułk, który osiągnął w wyszkoleniu bojowym najlepsze wyniki. Nie istniał jednak żaden przepis określający jego wygląd. I tylko poprzez żmudną pracę i zbieranie dokumentacji fotograficznej Lesław Kukawski zinwentaryzował ok. 40 buńczuków.

Na kawaleryjskie tradycje składają się także marsze, zawołania, sygnały. Każdy pułk miał swój własny marsz, stanowiący hymn pułkowy, wykonywany w szczególnie ważnych momentach. Po wieloletniej pracy udało się L. Kukawskiemu skompletować wszystkie zapisy marszy i w większości doprowadzić do utrwalenia ich na taśmie magnetofonowej.

Kawaleryjski pasjonat, który zgromadził dużą wiedzę historyczną, przez wiele lat prowadził korespondencję z byłymi kawalerzystami. Oprócz listów miał także pamiętniki, ofiarowywane mu w prezencie. Tam też zapewne można szukać odpowiedzi na pytania na temat losów polskich ułanów, ich pragnień, nadziei i rozczarowań.

Lesław Kukawski udostępniał swoją wiedzę i zbiory wszystkim, którzy interesują się historią. Organizował wystawy w różnych częściach Polski. Właściciel kolekcji występował z odczytami na sesjach naukowych Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy. Uczestników sesji, odbywających się niedaleko Poznania czekały niespodzianki. Np. zostali zaproszeni do Pańskiej Łaski, gdzie przed gankiem ujrzeli jeźdźca na koniu w pełnym kawaleryjskim rzędzie. Właściciel zbiorów był pełnym humoru typem gawędziarza, potrafił barwnie opowiadać, przeplatając wiadomości historyczne najrozmaitszymi anegdotami. Przy codziennych obowiązkach gospodarskich znajdował zawsze czas, aby tak rzetelnie z zacięciem i pasją badacza, podejmować studia historyczne i budować prywatne muzeum, aby utrwalić kawałek polskiej historii, w trudnych czasach. – Człowiek jest wciąż nienasycony – mówi właściciel z Pańskiej Łaski – wciąż mało i mało. Pełne mam szafy, mundury nie mają czym oddychać. Złoszczę się. A potem przyjdzie wystawa jedna, druga, ktoś się wpisze. I myślę: a może warto to robić, warto to pokazywać.

Lesław Kukawski zmarł w lutym 2016 roku.



Joanna Sokołowska i Lesław Kukawski w Pańskiej Łasce w 1988 roku.

Ze srebra i drewna



Pamięci poległych w I Wojnie Światowej, Oslavje, Park Pevma.

Ryszard Sawicki

Miał krótko przystrzyżone włosy ze starannie zaznaczonym przedziałkiem po lewej stronie. Wąsy dochodziły do krawędzi górnej wargi i do kątów ust. Regularne, wyraźnie zaznaczone brwi biegły prosto do miejsca, gdzie łagodnie uginały się ku dołowi. Oczy przykrywały ciężkie powieki, które schodziły poniżej krawędzi tęczówki. Patrzył spod nich raczej smutnym wzrokiem, którego nie ożywiała żadna wesoła iskra. Można by jego wzrok uznać też za poważny, ale trzeba od razu by dodać,

że z powagą mieszał się właśnie odcień smutku, który zazwyczaj wypływa z przeczucia czegoś nieuniknionego, czemu nie można się przeciwstawić, bo i tak będzie co ma być. O tym wiedział patrząc tak właśnie, a nie inaczej. Wiedział, że należy pogodzić się z losem lub raczej z tym, co losem nazywamy, a czego nie potrafimy dokładnie opisać, ani dla czego nie znamy lepszego określenia. Z losem, którego pragniemy, ale i nie pragniemy. Z tym, ku czemu dążymy, ale przed czym chcemy uciec.

Wiedział o tym i nie wiedział zarazem, kiedy patrzył w szklane oko fotograficznego aparatu. Wtedy, gdy znalazł się w górach Dalmacji i dotarł nad wijącą się w krętej dolinie rzekę. Wiedział o swoim losie tyle, ile trzeba wiedzieć, by spoglądać na świat właśnie tak, jak spoglądał: bez szczególnego zainteresowania, ale i bez niechęci, ze współczuciem, ale raczej dla innych niż dla samego siebie.

W budynku szkolnym zamienionym na przyfrontowy szpital znalazł się wraz z kolegami ze służby medycznej. Wkrótce sale przepełniły się rannymi i umierającymi, którymi trzeba było się zajmować, nie miał czasu, by myśleć o tym, co pozostawił za górami, ani też o tych, których pozostawił. Pewnego dnia znalazł jednak chwilę, by napisać list i wysłać go wraz ze swoim zdjęciem. Usiadł przy niewielkim stole w swoim pokoju, rozłożył kartkę cienkiego, zielonkawego papieru, zaostrzył ołówek i zaczął pisać.

Pisał o srebrze i drewnie zamiast o medalach i drewnianych krzyżach. Użył metafory, by uniknąć interwencji frontowego cenzora, nie mógł nazwać rzeczy dosłownie, nie mógł wyrazić swoich myśli w sposób nieskomplikowany, po żołniersku. Jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że metafory muszą być zrozumiałe dla czytelników, którzy nie wiedzieli nic więcej o wydarzeniach na froncie oprócz tego, co przeczytali w lokalnych gazetach. Chciał opowiedzieć o zdarzeniach, ale nie mógł o nich mówić wprost. Stał się więc mimowolnie poetą. Pisał tak, jakby wierzył, że metaforą można odmienić wojenny los.

Młodszego brata mego dziadka Władysława, Franciszka, znam tylko z jednej fotografii, jednego zachowanego listu i jednej pocztówki. Wiem jak wyglądał, ale nie wiem jak mógłby wyglądać, gdyby dożył mojego wieku. Gdyby postarzał się i zmienił, posiwiał, jak ja. Czy jednak byłby ode mnie bardziej czy mniej siwy, bardziej niż ja jestem teraz, czy może zachowałby ciemne, mocne włosy do późnego wieku, jak jego brat, mój dziadek? Kiedy będę starszy od stryjecznego dziadka, w tym względnym czasie własnej starości, czy będę inny niż on mógłby być? Odpowiedzi nie znajdę, z tym trzeba się pogodzić, jak z wojennym losem. Jak z każdym losem, który raz rozpala, raz wygasza iskry w oczach człowieka, niezależnie od jego woli.

Tylko przeczucie pozostaje nam, nie wiedza, nim popatrzymy w lustro i powiemy sobie: tak, taki jesteś, bo taki miałeś być, takim

właśnie się stałeś. Jeśli w ogóle spojrzenie w lustro będzie możliwe. Jeśli dożyjemy takiej chwili.

W przerwie między jednym a drugim ostrzałem artyleryjskim Franciszek pisał swój list i nie wiedział, że dostarcza wiadomości o sobie i o tym, co się wokół niego dzieje, nie tylko tym swoim bliskim, których znał, ale i tym, których nie znał, a których pojawienie się na świecie mógł jedynie przeczuwać, chociaż nie tak, jak się przeczuwa rozwój zdarzeń, które się wysnuwają ze znajomej przestrzeni.

Pisał do swojego kuzyna, ale i do mnie, wnuka swego brata, chociaż tylko kuzyna nazywał w liście po imieniu, mnie po imieniu nazywać nie mógł, bo nawet najbardziej przenikliwe przeczucie nie podpowiada przecież imion wnuków.

Pisał pod datą 6 listopada 1915 roku do Wielmożnego Pana Antoniego Tabińskiego zamieszkałego we Lwowie, przy ulicy Piekarskiej nr 1/1C, na drugim piętrze. Podał też adres zwrotny: Franciszek Sawicki, J.R. 80-Stab, K und K Feldpostamt 212. Pieczątka na kopercie ma datę o dzień późniejszą, czyli 7 listopada. Na kopercie podpisał się też cenzor wojsk austriackich, chyba Kolski, ale nazwisko jest słabo czytelne.

> Kochany Anciu!

Fotografie dostałem przed kilkoma dniami, czy Ci już za nie podziękowałem nie wiem na pewno, byłem bowiem tak roztargniony w ostatnich dniach, że nie mam najmniejszego pojęcia co i do kogo pisałem. Powodów do roztargnienia było aż nadto dosyć. Nie wiedziałem sam co mam najpierw robić, czy pisać testament, czy uczyć się po włosku. To pierwsze było wskazane na wypadek nagłej a spodziewanej co minuta jazdy na 28 centymetrówce, drugie zaś omal się nie przydało podczas również spodziewanej wycieczki do „Wiecznego Miasta". Ale stało się inaczej. Nie moja w tem zasługa, lecz tych, którzy hojnie będą (prawdopodobnie) obdzielani za zasługi, bo dużo srebra, ale też i dużo drewna na nasz pułk przypadnie. Wiele rzeczy strasznych widziałem i wiele chwil niezapomnianych na wojnie przeżyłem lecz to, co tutaj się działo, to przechodziło już siły ludzkie, a byłem przecież tytko w przedpieklu, bo prawdziwe piekło było dopiero na górze, gdzie wszystko fruwało w powietrzu. Były Twój przyjaciel przestał być grzecznym chłopcem, a zaczął być grubo niegrzecznym, zwłaszcza, gdy zaczęto się dobierać już i do tych, których niby ochrania międzynarodowa urnowa genewska. Rekursować nie było kogo, bo w programie całej tej zabawy był tzw. Trommelfeuer, więc i nasza szkoła bez względu na to, że ozdobiona czerwonym krzyżem, stanęła w ogniu najcięższych armat, deszczu granatów i szrapneli. Byliśmy odcięci od świata, a tymczasem coraz bliższy był ogień karabinowy, więc już zdawało się, że … albo-albo. Sale

szkolne przepełnione, nie było więc czasu myśleć nawet o tem, że lada chwila może wszystko wylecieć w powietrze. Na szczęście do tego nie doszło, ale za to dom sąsiedni dostał parę szrapneli i lekarz pełniący tam służbę padł na posterunku. Nie należał on wprawdzie do naszego pułku i mało go znałem, ale bardzo mi go żal. My straciliśmy jednego medyka i kilku sanitariuszy, lecz ci byli na linii bojowej. Cała ta bezustanna kanonada trwała bez przerwy dwa tygodnie, lecz, jak wiesz zapewne z dzienników, skończyła się tem, że Włosi zamiast w tryumfie, przyszli do miasta jako jeńcy. Od dwóch dni panuje już względna cisza. Przed nami leży obfity, na tysiące liczony plon strasznej pracy artylerji. Zima tutaj bardzo lekka, więc spodziewać się można, że nie tylko od kul będziemy przenosić się do krainy chwały. Od wczoraj mamy już parę okazów azjatyckich lub czegoś podobnego. Ja dotychczas czuję się zupełnie zdrowym, czego najlepszym dowodem jest tak obszerny list. Czy wszystko to co piszę będzie zrozumiałym dostatecznie nie jestem pewny. Przyjmij jeszcze raz serdeczne podziękowania za fotografie, jeżeli będziesz miał czas, ochotę i temat, to napisz do mnie. Całuję Cię serdecznie, Cioci rączki całuję, ucałowania dla Adasia, załączam też pozdrowienia dla wszystkich we Lwowie. Kochający brat Franciszek.

Kilka dni wcześniej napisał do rodziców na odwrocie swojej fotografii wykonanej przez kuzyna Antoniego we Lwowie, którą użył jako pocztówkę. I na tej fotografii podpisał się cenzor.

> Kochani Rodzice!
>
> Posyłam fotografię wykonaną przez Ancia Tabińskiego, którą mi przysłał ze Lwowa. Spodziewam się, że dojdzie za pośrednictwem żandarmerii. Koło mnie bardzo wesoło nie jest, dotychczas zdrów jestem, daj Boże bym mógł za parę dni tak samo donieść. Dotychczas nie dostałem ani słowa z domu, proszę choć parę słów napisać. Całuję rączki kochanych Rodziców, Czesia i Marysię, kochający syn Franciszek.



Pocztówka wysłana do rodziców we Lwowie.

Rok 1915 był rokiem porażek państw Entanty i sukcesów państw centralnych. Dwudziestego dziewiątego października na froncie południowym, który obejmował front austriacko-włoski, bałkański i Dardanele, Bułgarzy odzyskali Veles, a Francuzi zdobyli stację Strumica. Trzydziestego Francuzi wyparli Bułgarów z rejonu rzeki Vardar koło miejscowości Krivdak. Trzydziestego pierwszego Brytyjczycy wzięli udział w operacjach w rejonie Gevgel i Doiran (Macedonia). Pierwszego listopada Włosi odnieśli sukces w bitwach w pobliżu Gorycji i Zagory. Przełęczy Babunia między Uskuli i Prilepem broniło pięć tysięcy Serbów przeciw sześciu dywizjom nieprzyjaciela. Trzeciego listopada Rosjanie odnoszą sukcesy w bitwach koło Siemkowic nad Strypą i w rejonie Dwińska, biorą do niewoli pięć tysięcy jeńców. Czwartego Turcy atakują pod miejscowością Azac, ale zostają wyparci. Serbowie walczą z Bułgarami pod Izworem w Macedonii. Piątego listopada padł Nisz po trzech dniach ciężkich walk. Niemcy kontrolują dunajsko-ottomańską linię kolejową. Główne siły austriacko-niemiecko-bułgarskie łączą się pod Kriwizem, 35 mil od Niszu. Szóstego niemiecki konwój z amunicją dla Bułgarów i Turków dociera w rejon miejscowości Rusczuk. Siódmego Niemcy dochodzą do miejscowości Kruszewac i przekraczają rzekę Morawę pod Kryliewem.

W dniach, kiedy Franciszek i jego koledzy cieszyli się względnym spokojem, na innych odcinkach frontu południowego miało miejsce wiele ważnych wydarzeń. Po latach można te wszystkie wydarzenia ująć jednym rzutem oka, ale dla frontowego żołnierza było to trudne, a czasem niemożliwe. Wiadomości docierały zza przełęczy górskich z opóźnieniem, jeśli w ogóle docierały. Franciszek miał za zadanie opiekować się rannymi, bał się, że podczas lekkiej zimy szerzyć się będą choroby. Jemu samemu zdrowie dopisywało. Żałował kolegów, którzy zginęli w bitwie, chociaż nie znał ich dobrze.

Ja, czytelnik listów stryjecznego dziadka, mogę bez trudu sprawdzić kalendarz wydarzeń roku 1915, mogę oglądać fotografie ze wszystkich frontów Pierwszej Wojny Światowej. Ale skazany jestem na to, że nigdy nie dowiem się więcej o tym, co przeżywał Franciszek nad rzeką Soczą, co czuł pisząc list do domu. Nie wiem nawet, czy dotarła do niego odpowiedź od rodziny, ani, czy mógł kiedykolwiek znowu wysłać list do Lwowa.

Przez wiele lat los Franciszka nie był znany nawet najbliższym. Rodzina przekazała z pokolenia na pokolenie tylko tę wiadomość, że stryj Franek nie wrócił z frontu w Dalmacji. W czasie wojny nadeszła krótka wiadomość od administracji wojskowej o tym, że poległ. Żadnych szczegółów, tajemnica wojskowa. Po zakończeniu działań wojennych przyszedł do Józefa Sawickiego przyjaciel Franka, który służył w tym samym pułku i powiedział,

że Franek zginął od odłamka pocisku artyleryjskiego, który trafił go w głowę, kiedy klęczał przy łóżku. Do tej informacji prababka, żona Józefa, dodała swoje opowiadanie. Pewnej nocy, jeszcze podczas wojny, a przed oficjalnym powiadomieniem, które nadeszło od władz wojskowych, zbudziła się i powiedziała do męża, by poszedł do swojej kancelarii, bo tam na kanapie śpi Franek. „Właśnie przyjechał i śpi", powiedziała.

Moja wiedza o Franku jest trochę taka, jaką przekazała prababka Helena, czyli graniczy z wiarą w duchy, a trochę taka, jaką przekazali inni członkowie rodziny, u których Franek nie sypiał na kanapie. Mogę ją wzbogacić dzięki temu, że zbiory archiwalne stają się coraz łatwiej dostępne w wyniku zmian politycznych. Kiedy pierwszy raz usłyszałem od drugiej żony pradziadka, Heleny (żyła ponad sto lat, więc zdążyłem odwiedzić ją w Jarosławiu, gdzie mieszkała z córką Marią po Drugiej Wojnie Światowej), opowiadanie o wizycie Franka w ich domu za Bugiem, to właśnie opowiadanie zrobiło na mnie największe wrażenie, a nie lektura dokumentów. I zazdrościłem jej tamtego spotkania.

Zazdroszczę też stryjowi Leszkowi, młodszemu bratu ojca, jego wyprawy nad rzekę Soczę w lecie 2001 roku. Taką wyprawę chciałbym sam przeżyć. Byłaby to wyprawa podobna do tej, którą odbyłem z ojcem w 2005 roku do miejsc, gdzie znalazł się on w czasie Drugiej Wojny Światowej. Żałuję tylko, że Franek nie

będzie mi takim samym towarzyszem, jakim był ojciec. Chciałbym pojechać w Dolinę Isonzo nie latem, a późną jesienią, by poczuć wiatr wiejący ku północy w górę rzecznej doliny. Chcę przemierzyć własnymi stopami ulice paru miast w Julijskich Alpach. Chcę zaglądnąć w okna domów, porozmawiać z mieszkańcami. Dzięki poszukiwaniom Leszka wiem, że budynek szkolny, w którym umieszczono polowy szpital został wprawdzie przebudowany, ale stoi na tym samym miejscu. W muzeum w Caporetto jest sporo eksponatów, które stanowią przedmioty pozostawione przez żołnierzy kilku walczących armii. Są dokumenty, a wśród nich listy wysłane z frontu i na front, podobne do listu Franka z 6 listopada 1915 roku. Można w nich znaleźć żywe niegdyś, a dziś uśpione myśli, którymi dzielili się krewni z krewnymi, przyjaciele z przyjaciółmi… ludzie z ludźmi. Myśli wyrażane w różnych językach, ale w każdym z nich przynajmniej trochę zrozumiałe dla osoby, która zna treść jednego z nich. Myśli te są jak cienie cieni, ale przecież są. Odczytuję te myśli z listu i pocztówki Franka, może odczytam więcej z innych listów, uzupełnię wrażenia, domyślę się szczegółów, utworzę własne tło dla metafor w nich zawartych. Kiedyś podróżowałem do zupełnie obcych miejsc, teraz podróżuję przede wszystkim tam, gdzie rozpoznać mogę znane mi ślady. I dołączyć do nich swój ślad. Dołączyć cień do cienia.

Szkoła w Pevmie (odbudowana). Tu znajdował się w 1915 r.

szpital polowy, w którym zginął stryj Franek, fot. Leszka Sawickiego.

Leszek zaczął swoje poszukiwania pisząc listy do austriackich placówek dyplomatycznych. Ambasada Austrii w Warszawie odesłała jego prośbę o informacje do konsulatu w Krakowie, a ten skierował ją do państwowego archiwum w Wiedniu. Po miesiącu Leszek dostał odpowiedź. Dyrektor Archiwum, Christoph Tepperberg, HR Dr, informował w uprzejmym tonie, że

> Franz Gwido Sawicki, urodzony w 1887 roku w Białym Kamieniu (Złoczów, Galicja), rzymski katolik, podoficer sanitarny cesarsko-królewskiego pułku piechoty nr 80 w stopniu zugsfuehrera, tytularnego feldfebla, poległ dnia 30 listopada 1915 roku w Pevmie (Gorycja) i tam został pochowany na cmentarzu wojskowym.

Leszek odszukał przy pomocy szkła powiększającego niewielki punkt z nazwą „Pevma” widniejący na mapie rejonu Gorycji, na przedpolu Alp, tuż przy granicy włosko-słoweńskiej. Wybrał się tam wraz z żoną samochodem w 2001 roku. Opowiadał, że zdecydowali się opuścić pod Willach zatłoczoną austriacką autostradę i jadąc dalej wąską szosą po kwadransie pokonawszy

stromą przełęcz Wuerzenpass, znaleźli się w Słowenii, w kraju dopiero od dziesięciu lat niepodległym, choć od Wielkich Wojen minęło sporo lat. Zatrzymali się na krótki odpoczynek w przydrożnej kawiarni. Dostali olbrzymie porcje jabłkowego strudla. Podczas posiłku wdali się w rozmowę z lokalnymi mieszkańcami i szybko odkryli, jak miło znaleźć się byłemu Lwowiakowi i Galicjaninowi w kraju, gdzie słowo „fiakier" znaczy „fiakier", a „precel" znaczy „precel". Leszek poczuł się prawie u siebie, tak, jak się czuje w Pradze czy Bratysławie. I nawet w stolicy państwa Franciszka Józefa, w Wiedniu, gdzie podobizny cesarza używane są do dekoracji witryn sklepowych, a przewodnik po pałacu Schoenbrunn objaśnia, że w tym pokoju, na żelaznym polowym łóżku sypiał *der liebe, alte Kaiser.*

Po posiłku i miłych wspomnieniach Leszek i Maria pojechali dalej. Przez godzinę podjeżdżali na przełęcz Wrsic, która rozcina główny grzbiet Alp Julijskich na wysokości 1,611 metrów. Na przełęczy, po uciążliwej jeździe pod górę, czekała na nich kolejna miła niespodzianka. Otworzył się przed nimi obszerny widok na Dolinę Isonzo. Po lewej, na ramieniu stromego łańcucha górskiego Prisojnika (2,547 mnp), zobaczyli czarne wnęki potężnego austriackiego bunkra, pozostałość po linii obronnej, która zatamować miała pochód armii włoskiej w głąb terytorium Austrii. To w tej dolinie Franek udzielał pomocy rannym kolegom, to tutaj słyszał w przerwach pomiędzy kanonadami artyleryjskimi bicie dzwonów dobiegające z pobliskich świątyń.

Może zastanawiał się, jak zapewne wielu z jego szpitalnych podopiecznych, komu tego czy innego dnia, który dzwon wybije. Kiedy mógł odpocząć przy swoim polowym łóżku i wpadał w zadumę, wtedy dźwięk dzwonu musiał wydawać się szczególnie donośny. Klękał więc i odmawiał pacierze. Tak samo czynił zresztą podczas ostrego ostrzału artylerii, gdy każdy kolejny pocisk niósł śmierć i zniszczenie. Po ostrzale podnosił się i biegł z noszami w kierunku okopów. Aż i jego uderzył odłamek pocisku. Franek był jednym z tych lwowskich studentów, których objęła wojenna mobilizacja 1914 roku. Znalazł się w 80 pułku piechoty Najjaśniejszego Pana, który stacjonował we Lwowie, przy ulicy Św. Piotra na Łyczakowie. Lwowski garnizon tuż przed wojną liczył jedenaście tysięcy żołnierzy, a żołnierze w niebieskawych mundurach stanowili element miejskiego folkloru. Krążyły o nich rozmaite wesołe anegdoty. Bataliony obu lwowskich pułków, 30 i 80, znalazły się na włoskim froncie, gdy rząd Italii opowiedział się po stronie Ententy, przeciw monarchiom Austro-Węgier i Niemiec. Była to wojna narodów i przypominała wojny napoleońskie. W armii austro-węgierskiej służyli przedstawiciele wszystkich narodowości cesarstwa, a więc Austriacy, Polacy, Węgrzy, Czesi, Słowacy, Słoweńcy, Rusini, Bośniacy. Austriaków wspierali Niemcy, a Włochów Francuzi, Anglicy, Amerykanie.

Nad przełęczą Wrsic wiał wiatr, kiedy Leszek i Maria wsiedli znowu do samochodu, by zjechać doskonałą szosą biegnącą w

dół ku rzece Jechali pośród alpejskich łąk, mijali domy o brunatnych poddaszach i czterospadowych dachach, typowe w tej okolicy Alp. Rzeka Socza płynęła coraz szerszym korytem ku południowi, tworząc piękne krajobrazy. W górnym biegu jej wody wydawały się turkusowe, w dolnym przybierały barwę malachitu. Woda kontrastowała z białymi wapiennymi ścianami, które odbijały się dokładnie w ciemnym lustrze wszędzie tam, gdzie nurt był spokojny. Czasem nurt był jednak tak spieniony, że biel wody i biel skał zlewała się razem, chyba, że czeluście były zupełnie zasłonięte przed wzrokiem ciekawych podróżnych. Dziś Socza jest popularnym rejonem spływów kajakowych, odbywają się też na rzece międzynarodowe zawody wodnych sportowców. Leszek i Maria widzieli wielu entuzjastów takich sportów, jak odziani w kombinezony, kaski i kamizelki przygotowywali się do spływu, albo walczyli z nurtem rzeki. Ich stroje w niczym nie przypominały wojskowych mundurów cesarsko-królewskiej armii, jednak poszukiwaczom wojennych śladów sportowe kombinezony kojarzyły się właśnie z mundurami. „Gdzie są chłopcy z tamtych lat… nad grobami wieje wiatr”, nucili sobie jadąc samochodem w dół doliny.

Front odległej w czasie wojny rozciągał się od okolic Montefalcone, położonego przy ujściu Soczy do Adriatyku, czyli nieopodal malowniczego miasta Triest, aż do rejonu Trentino. Cmentarzy wojennych jest sporo, są zwykle ukryte w zagajnikach, a wśród zabudowań miejskich znaleźć można muzea

poświęcone tej jednej z największych i najdłuższych bitew w historii świata. Leszek i Maria odwiedzili kilka cmentarzy, kilka muzeów. Przywieźli zdjęcia wielkiego mauzoleum włoskiego w Oslaviji, między innymi zdjęcia z wnętrza obszernej rotundy wieńczącej szczyt wzgórza, ku któremu wiodą szerokie kamienne schody obramowane ścianami wysokich cyprysów. Tam też, osłonięci przed podmuchami wiatru, w panującej wokół zupełnej ciszy, zapalili znicze w imieniu rodziny Sawickich. Modlitwę poświęcili nie tylko pamięci Franciszka, ale i setek tysięcy ofiar krwawych bojów, które toczyły się aż do października 1917 roku, gdy ofensywa austriacka i niemiecka powstrzymała umiarkowane zwycięstwa Italii i jej postępy terytorialne osiągnięte w jedenastu poprzednich bitwach. Tę ofensywę poprzedził atak gazowy pod Bevecem, który doprowadził do przerwania frontu i panicznego odwrotu armii włoskiej. Ten odwrót opisany został na kartach „Pożegnania z bronią”.



Oslavija. Leszek Sawicki zapala znicz w imieniu rodziny Sawickich.

Nim Leszek i Maria pożegnali się z zieloną doliną Isonzy, znaleźli się w miejscowości Logu, niedaleko krasowych źródeł rzeki. Nad okolicą górują wapienne szczyty Rombom (2,208 mnp) i Czukla (1,767 mnp). W tej zagubionej w górskiej okolicy miejscowości jest cmentarz z 859 mogiłami żołnierzy cesarsko-królewskiej armii. Wielu z nich nie zostało nigdy zidentyfikowanych,

ustawiono nad nimi bezimienne krzyże. Większość tych żołnierzy poległa 24 października 1917 roku, w decydującym dniu bitwy, podczas ataku na włoskie pozycje pod Czyklą. Bitwa rozegrała się pod osłona śnieżnej burzy, więc w warunkach, które sprzyjały atakującym. Najwięcej poległych było żołnierzami 59 salzburskiego pułk piechoty, ale i wśród nich znaleźć można słowiańskie nazwiska. Nagrobki Węgrów przystrojone są wstążkami o narodowych barwach, co świadczy o pięknej, nieustającej pamięci rodaków. Polskich wstążek nie było na żadnym cmentarzu. Na cmentarzu w Bovecu nie ma tablic z nazwiskami, groby są puste, bo szczątki włoskich żołnierzy zostały przeniesione do wielkiej kostnicy w Kobaridzie. Najlepiej zadbany cmentarz Leszek i Maria odnaleźli w Ukancu, na zachodnim brzegu jeziora Bohinskiego. Czytelne tabliczki na krzyżach pozwalają bez trudu zidentyfikować żołnierzy z obu lwowskich pułków.

Kobarid tro niewielkie miasto z kościołem o szpiczastej wieży, z hotelem i kilkoma restauracjami. W literaturze znane jest lepiej pod nazwą Caporetto. Leszek i Maria stwierdzili, że literackie opisy sprzed lat niewiele różnią się od dzisiejszych widoków. Niskie domy z „Pożegnania z bronią” i dziś zdobią balkony tonące w kwiatach. Wąskie, kręte ulice wypełnia co pół godziny głos kościelnego dzwonu. Nie ma tylko fontanny na zapleczu jednego z domów przy rynku opisanej w książce. Muzeum w Caporetto mieści wiele eksponatów z pól bitewnych. Można

zobaczyć broń, amunicję, ulotki, listy, fotografie i szkice sytuacyjne. Hełm podziurawiony dla odcedzenia makaronu, obok denko menażki, też podziurawione, by umożliwić przesiewanie parmezanu. Na zdjęciach ogrom zniszczeń: ruiny domostw, kręte linie okopów z tysiącami poległych, jeńcy wojenni i ewakuowana ludność cywilna. Jedną z sal wypełnia ogromna mapa plastyczna walk nad Soczą. Obok schron skalny, w którym umieszczono w pozycji siedzącej woskową figura żołnierza. Jest to młody człowiek we włoskim mundurze. Siedzi pod skalną ścianą i pisze list.

Włosi byli gospodarzami doliny Isonzo w latach 1919-1947. Wybudowali na wzgórzu nad Caporetto wielki panteon, w którym zgromadzono szczątki żołnierzy. Jadąc w dół doliną rzeki dojeżdża się w końcu do wsi Pevma, czyli Piume, którą włoskie archiwum wskazało jako miejsce pochowania Franciszka. Wieś to właściwie podmiejskie osiedle Gorycji, miejscowości, w której wille i pałace posadowione na wzgórzach toną w zieleni ogrodów. W samym Piume jest kilkanaście domów, kościół i szkoła. Budynek szkolny to nie ten sam, w którym w czasie wojny mieścił się szpital, ale stoi na tym samym miejscu, za tym samym murem. Leszek i Maria dotarli do Piume po południu. Kościół znaleźli zamknięty, plebanię bez znaku życia. Szukali kogokolwiek, z kim mogliby zamienić parę słów. Zapukali do drzwi jednego z domów na zapleczu kościoła i zostali zaproszeni na kawę. Wkrótce odkryli, że dla trzech pokoleń mieszkańców

tego domu, łącznie z babcią w wieku lat 78, historia bitewna jest niemal rodzinną historią. Domownicy opowiadają o walkach, pokazują zdjęcia. Mówią, że poległych żołnierzy armii austriackiej grzebano po przeciwnej stronie szosy. Szkoła i kościół zostały zburzone podczas wojny, dopiero później je odbudowano. Jedno ze zdjęć w rodzinnym albumie zostało zrobione podczas pogrzebu żołnierza na cmentarzu w Pevme. Obok trumny stoi kapelan, koledzy. Dalej ustawiono szereg krzyży ze stożkowymi okapami. Cmentarz wojskowy został zlikwidowany przez Włochów w latach 1936-1937, szczątki przeniesiono do panteonu w Oslaviji, jeden kilometr dalej. To w Oslaviji armia generała Cadorny starała się przebić na wschód, omijając miasto Gorycja. Oslaviji broniły oddziały austriackiej piątej armii, a wśród nich 30 i 80 pułki piechoty ze Lwowa. W albumie wydanym w Słowenii przeczytać można, że trzecia i czwarta bitwa nad Soczą toczone były na przedpolu Gorycji, na linii obronnej Podgora-Pevma-Olavija-Sabotin. Najkrwawsze walki stoczono o wzgórze nr 153. Walki toczyły się według schematu: zmasowany atak artylerii, kontratak, ogień zaporowy wroga, nieco spokoju, poczem zmasowany ogień artylerii drugiej strony. Okopy zdobywano w walkach wręcz, z użyciem noży, saperek, w czym celowały zwłaszcza oddziały dalmatyńskie i bośniackie. Włosi używali nabitych gwoździami buzdyganów. W tych walkach pozycyjnych tracono lub zdobywano po kilkaset metrów kwadratowych terenu.

> Może wrócę ciężko ranny,
>
> lub dostanę krzyż drewniany, może ma mogiła stanie
>
> gdzieś w wąwozie na Bałkanie,

nucił stryj Leszek pokazując mi album i komentując fotografie. I czytał dalej. W nocy na 30 listopada 1915 roku generał Zeidler dowodzący 58 austriacka dywizją, zluzował pięć batalionów umęczonych obrońców Oslaviji. Włosi zaprzestali tej nocy ataków z powodu trudnych warunków atmosferycznych, ale ich artyleria dalej strzelała. Dziś na szczycie osławionego wzgórza nr 153 wznosi się otoczona cyprysami wielka kamienna rotunda. Wśród żołnierzy włoskich spoczywa też kilkuset żołnierzy armii austro-węgierskiej. O nich właśnie Leszek zapytał starszego mediolańczyka, kustosza muzeum. W spisie poległych, który przyniósł kustosz nie było jednak nazwiska Franka. Leszek dostał włoski formularz adresowany do Ministrero della Difesa, by mógł skorzystać z niego tak, jak korzystał z uprzejmości austriackich urzędników. Ale poszukiwania te nie przyniosły żadnych rezultatów. Przed wejściem do rotundy stoją dwa działka polowe, może jedno z nich strzeliło w 1915 roku w kierunku szkolnego budynku w Pevme-Piume? Leszek i Maria wrócili do kraju nie spiesząc się. Jechali pod pogodnym, błękitnym niebem ostatnich dni lata. Przejeżdżali znowu przez białe Alpy, mijali intensywnie

zielone łąki w dolinach i spokojne, małe osady. Pamiętali o małej osadzie Pevme-Piume tonącej w oleandrach i winorośli. Pamiętali twarz młodego człowieka z krótko przystrzyżonymi włosami, ze starannie zaznaczonym przedziałkiem po lewej stronie. Oczy przykrywały ciężkie, a może tylko zmęczone powieki, spod których patrzyły zamyślone oczy.

Powrót



Zamek Potockich w Łańcucie.

Teresa Fabijańska-Żurawska

Dnia 23 lipca 1944 roku opuszczał swą ukochaną rezydencję IV ordynat na Łańcucie Alfred hr Potocki udając się via Kraków do Wiednia. Nie myślał wtedy o rychłym powrocie do rodzinnego gniazda, ale był pełen ufności, że Zamek i tym razem ostatnie się zawierusze wojennej, będąc jak zawsze pod opieką „dobrego Anioła Stróża", jak sam określił. Wszak wraz z matką swą Elżbietą z Radziwiłłów, jeździł do Leżajska, by przed cudownym obrazem jaśniejącej Matki Najświętszej powierzyć Zamek i siebie Jej opiece. Czy wierzyli na prawdę w tę siłę nadprzyrodzoną? Faktem jest, że Zamek ocalał, a właściciele dożyli swoich dni.

Ostatnie miesiące Łańcuckiej egzystencji wypełnione były pracą przy pakowaniu i wysyłaniu rzeczy do Wiednia. W swoim pamiętniku Alfred hr Potocki opisuje niemal dzień po dniu przygotowania, jakich dokonywano w Zamku do końca marca 1944 roku. Należy wspomnieć, że w czasie okupacji sztab wojska niemieckiego zajął część Zamku pozostawiając ograniczona swobodę gospodarzom.

> Pakowanie stało się faktem. Uprzątaliśmy komnatę jedną po drugiej z obrazów, mebli, porcelany, kryształów i całej

reszty. Niektóre z nich moi służący opłakiwali łzami, niezdolni do powstrzymywania emocji. To wyglądało jak koniec świata (...) Pamiętam jak stanąłem w pustym pokoju patrząc jak pada śnieg, a oficerowie niemieccy wchodzili i wychodzili z Zamku (...) To już nie było moje ognisko. Przychodzili poinformować mnie, że cały zamek będzie zajęty.

Pracowaliśmy w nocy wśród pomruków bombowców latających tam i z powrotem nad Zamkiem. Niejednokrotnie byłem na nogach aż do świtu doglądając pakowania porcelany i kryształów.

Nasze zasoby wyczerpywały się. Każdego dnia wydawaliśmy 400 posiłków bez liczenia tych, dostarczanych do około 200 uciekinierów i dla naszych biednych na miejscu. Na początku maja200 uciekinierów dodatkowo przybyło ze Lwowa. Wydałem rozporządzenie by ich karmili aż do momentu, gdy nie zostanie ani jedna kromka chleba.

Zdecydowałem się wysłać do Wiednia zapakowane skrzynie i 10 maja załadowano 75 na dworcu w Łańcucie. Dwa dni później posłano 174 dodatkowo. Widziałem jak odjeżdżały i pytałem siebie czy je jeszcze zobaczę.

W połowie lipca Elżbieta Potocka wyjechała do Bad-Gastein, a następnie do Wiednia. Syn dołączył do niej 1 sierpnia. Zamieszkali w hotelu „Bristol”, gdzie nie byli jedynymi uciekinierami z Polski. Rzeczy łańcuckie, w sumie około 640 skrzyń dojechały do Wiednia i zostały w pałacu Lichtensteinów. W czasie bombardowań niektóre uległy zniszczeniu. Później podzielono je na dwie części. Jedna pojechała do Waduz, druga do Feldkirch w Austrii przy granicy z Lichtensteinem na odpłatne przechowanie w firmie Gebruder Weiss. Naloty zmusiły Potockich do wyjazdu 15 marca 1945 do księstwa Lichtenstein, później do Lozanny w Szwajcarii.

Dziś w Łańcucie wielu ludzi wspomina hrabiego Alfreda z najwyższym szacunkiem, szczególnie gdy w latach okupacji zatrudniał ich w Zamku czy w ogrodach dając możność tym samym przeżycia całym rodzinom i uratowania ich od wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Kobiety znajdowały zatrudnienie w szkole hafciarstwa założonej przez hrabinę Romanową lub przygotowaniu obiadów dla uciekinierów i biednych. Zamek zawsze opiekował się nimi i czyniła to osobiście każdorazowo ordynatowa. Tak było i w ten czas niewoli.

Oczywiście wspominają i dobre czasy: polowania, przyjmowanie dostojnych gości, piękne powozy i widowiskowe zaprzęgi. Łańcut był salonem Rzeczpospolitej dla oficjalnych gości rządowych i salonem Europy dla gości Potockich.



Elżbieta Maria Matylda z Radziwiłłów Potocka, urodzona w Berlinie, córka Antoniego ks. Radziwiłła i Marii de Castellane, żona Romana hr Potockiego, matka Alfreda i Jerzego.

Elżbieta Maria Matylda urodzona w Berlinie, córka Antoniego ks.

Radziwiłła i Marii de Castellane, żona Romana hr Potockiego, matka Alfreda i Jerzego. W rodzinie nazywana była Betką, a przez służbę Excellencją. Jej to właściwie Zamek zawdzięcza dzisiejszy wygląd, modernizację (słynne łazienki, elektryczność, system ogrzewania etc.), założenie obecnych ogrodów w obrębie fortyfikacji i trzydziestohektarowego parku poza fosą. Także wzniesienie nowych, monumentalnych budynków stajni i powozowni. Wraz z mężem swym, poślubionym w Berlinie w 1885 roku z nadzwyczajną wytrwałością i świadomym programem pracowała nad wspaniałością Łańcuta nie niszcząc tego, co dawne, piękne, historyczne. Szczególnie zachowując wnętrza-komnaty zamkowe księżnej Marszałkowej Izabeli Lubomirskiej słynącej z umiłowania sztuk pięknych, dobrego smaku i zatrudniania najlepszych artystów epoki.

O swoich pierwszych wrażeniach i przebudowie całego zamku pisze Elżbieta hr Potocka we „Wspomnieniach", które zachowały się w rękopisie w bibliotece muzealnej. Są pisane barwnie, a przy tym z dokładnością dokumentu czasu. Świadczą o jej żywości umysłu, wyobraźni i poczuciu humoru. Pokazują też ogrom pracy włożonej przed z górą stu laty, widocznej dzisiaj.

Wszystko to, by Łańcut błyszczał i promieniował swą kulturą w następnych, nieraz bardzo trudnych ekonomicznie i politycznie latach. Można powiedzieć, że zawsze uczył i radował, inspirował i zachwycał.

Pierwsze lata małżeństwa Elżbieta hr Potocka spędziła z mężem w Wiedniu, gdzie zasłynęła nie tyle urodą co urokiem, elegancją, pięknem toalet i ekwipaży. Później, po śmierci teścia w 1889 roku, gdy została ordynatową, czuła się i była z górą pół wieku panią na Łańcucie.

W ostatnich latach życia dane jej było dzielić wraz z synem los emigrantów. Zmarła w sędziwym wieku 89 lat dnia 13 maja 1950 roku w Lozannie i tam została pochowana na pięknym cmentarzu patrzącym na jezioro Leman (Genewskie).



Alfred Antoni hr Potocki, IV ordynat na Łańcucie.

Jej starszy syn, Alfred Antoni ur. 14 czerwca 1886 roku w Łańcucie, został po śmierci ojca w 1915 roku czwartym ordynatem łańcuckim. Był dziedzicznym członkiem Izby Panów i prezesem krakowskiej „Resursy". W ostatnich latach życia został kawalerem Krzyża Maltańskiego.

Młodszy syn Elżbiety – Jerzy Józef urodzony w Wiedniu 21 stycznia 1889 roku otrzymał dobra pomorzańskie położone na wschód od Lwowa. Malowniczy renesansowy zamek w Pomorzanach posiadał niegdyś czworoboczny dziedziniec z krużgankami, po którym zostały dwa okazałe skrzydła z narożnymi wieżami i oficyną z późniejszych czasów. Jeszcze dzisiaj podziwiać można szlachetne propozycje i detal architektoniczny wysokiej klasy. Do Pomorza wiedzie przepiękna, szeroka droga przez Złoczów. Wielowiekowy, historyczny zamek był niszczony najpierw najazdami Tatarów, później innymi wojnami, ale został pięknie odrestaurowany na początku lat trzydziestych przez Jerzego hr Potockiego i jego żonę Susanę Iturregui y Orbegoso, która, jak tradycyjnie każda z pań Potockich, inicjatywą i finansami wsparła do niełatwe i kosztowne przedsięwzięcie. Ta para urodziwych ludzi ślub zawarła w Paryżu w obecności obu matek – wdów, dnia 28 czerwca 1930 roku i na pierwsze lata osiedlili się we Francji nie zapominając o swym tak bardzo włoskim zamku w Pomorzanach. Zauroczona jego wspaniałą architekturą i historią nowa pani domu, szykowna i miła, gospodarna, dobra i zapobiegliwa,

wzorowo zajmowała się wszystkim. Władając językiem polskim, którego nauczyła się chętnie, miała dobre kontakty z miejscową ludnością, wśród której prowadziła działalność charytatywną.

Urodziła się w Limie 8 października 1898 roku. Ojcem jej był Juan Manuel Iturregui, matką Susana Obergoso de Iturregui.

Rodzina Iturregui (Yturregui) przybyła z Hiszpanii do Peru w końcu XVIII w. Najbardziej znanym w historii był Juan Manuel Yturregui – dziadek Susany, wielki przyjaciel San Martina, z którym wywalczyli razem niepodległość Peru, w połowie XVIII w. Luis Jose Orbegoso – pradziadek Susany po kądzieli – był marszałkiem i prezydentem Peru.

Jerzy hr Potocki jako młody człowiek służył w wojsku austriackim, co uwiecznił pięknym portretem Wojciech Kossak. Za wolnej Polski, w 1919 roku Jerzy stał na czele polskiej misji wojskowej w Budapeszcie, a w latach 1919-1920 był adiutantem Marszałka Józefa Piłsudskiego, którego uwielbiał z wzajemnością. Następnie wybrany został senatorem z okręgu tarnopolskiego i tę funkcję musiał pozostawić po nominacji go na ambasadora Polski w Turcji. Jak powszechnie wiadomo, Turcja nie uznawała rozbiorów Polski i co roku padało pytanie: *„Gdzie jest poseł z Lechistanu?”.* Odpowiedź brzmiała: *„Nie przybył”.* Jerzy hr Potocki w 1933 roku jako pierwszy po wielu latach mógł ze wzruszeniem wstać i powiedzieć: *„Oto jestem”.*



Jerzy Józef hr Potocki, młodszy syn Elżbiety i Romana Potockich.

Stworzenie nowej placówki dyplomatycznej w Ankarze nie było łatwe. Remont zakupionego obiektu był kosztowny, sfinansowali go małżonkowie Potoccy z własnych funduszy rodzinnych. W 1936 roku Jerzy został ambasadorem Polski w Waszyngtonie z równoczesną nominacją na posła przy rządzie Republiki Kubańskiej, co trwało do 14 grudnia. Oboje Susana i Jerzy dużo podróżowali zabierając ze sobą urodzonego w 1932 roku syna Stanisława. Łańcut, Pomorzany, Paryż, Ankara, Waszyngton, Lima. Około 1939 roku Pomorzany wynajął od Potockich ambasador USA w Polsce Anthony Biddl. Sowieci wkraczający do

Polski 17 września 1939 otrzymali rozkaz ominięcia i uszanowania tej prywatnej rezydencji, na której wisiała flaga amerykańska. Status nietykalności zachowały Pomorzany także w 1941 roku gdy Niemcy uderzyły na Rosję. Wówczas jeszcze Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny z Niemcami. W 1944 roku wraz z ofensywą sowiecką na zachód fala dzikiej nienawiści i tutaj sięgnęła. Pomorzany zostały splądrowane, czego nie udało się ukraść, zniszczono. Alfred hr Potocki zdawał sobie sprawę jakie zagrożenie nadchodzi dla Łańcuta.

W czasie wojny Susana hr Potocka organizowała pomoc finansową i żywnościową głównie dla jeńców za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża. Na ten cel w miejscowości Pau we Francji organizowała koncerty charytatywne zapraszając takich muzyków jak Radwan, Małcużyński czy Szering.

Jerzy hr Potocki zaprzyjaźniony z prezydentem Roosveltem zaofiarował mu swoją pomoc w pertraktacjach ze Stalinem. Doskonała znajomość języków, w tym rosyjskiego, oraz Kresów i mentalności sowieckiej mogły być niezwykle przydatne. Niestety został zlekceważony, zrezygnowano z jego propozycji. Był niewątpliwie zdolnym dyplomatą i gdyby nie wojna, życiorys byłby jeszcze ciekawszy.

Po wojnie ofiarowało mu obywatelstwo kilka krajów: Stany Zjednoczone, Kuba, Austria, Peru. Nie zrzekając się polskiego,

przyjął obywatelstwo maltańskie zostając ambasadorem Zakonu Kawalerów maltańskich w Limie, gdzie wraz z żoną i synem zamieszkali od 1941 roku.

W działaniach ambasadora Polski wspierał go zawsze brat Alfred chociażby przez wydawane uroczyste przyjęcia w łańcuckim zamku i organizowane ciekawe, pełne emocji polowania. Obaj byli przednimi myśliwymi trzech kontynentów. Dotąd zachowały się w Powozowni Zamkowej w Łańcucie liczne fotografie ze słynnych safari fundowanych przez ordynata łańcuckiego w 1924 i 1926 roku do Sudanu. Obaj również uprawiali sporty takie jak gra w polo czy golfa, z czego słynął Łańcut.



Susana Iturregui y Orbegoso, żona Jerzego hr Potockiego.

Obaj bracia pozostawili swoje wspomnienia. Fragmenty książki Alfreda, cytowane na początku, oddają atmosferę grozy przed nadchodzącym frontem sowieckim. Jerzy napisał książkę „Na wojnie i na łowach" – wspomnienia z lat wojny 1914-1916 i kontaktów z naturą podczas licznych polowań. Inne drobne artykuły w „Łowcy" zdradzają człowieka wrażliwego, miłośnika lasu i całej przyrody, znającego obyczaje zwierząt i ptaków, umiejącego wsłuchiwać się w życie, rozumieć je i szanować. Jerzy hr Potocki był niewątpliwie postacią interesującą, niezwykłą, godną biografii. Wielka szkoda, że nieznany jest los obecny jego pamiętników oraz ich tłumaczenia dokonanego przez Louise de Villemoran na język francuski.

Na krótko przed śmiercią Jerzy hr Potocki napisał list do Władysława Gomułki z prośbą o zezwolenie mu na przyjazd do Polski, by tu dokonać swego życia. Nie dano mu możliwości nawet krótkiego, „turystycznego" pobytu. Zmarł 20 września 1961 roku w Lozannie, a jego starszy brat, ordynat łańcucki zmarł 30 marca 1958 roku w La Roche-sur-Foron. Obaj mieli po 72 lata. Pochowani zostali u boku ukochanej matki. Susana żyła długo, zmarła w sędziwym wieku 92 lat 19 lutego 1989 roku w Lozannie i tam została pochowana.

***

Po wielu latach wrócili do Łańcuta, do należnego im miejsca –

matka z synami i synową. Stało się to za sprawą syna Jerzego, Stanisława hr Potockiego i jego żony Rosy z hr Larco de la Fuente, którzy postanowili dopełnić historii i pochować swoich bliskich w rodzinnym mauzoleum pod farą w Łańcucie. Powtórny pogrzeb Potockich w Łańcucie odbył się 20 września 2001 roku.

Gdzie się Ganges toczy



Wanda Dynowska – Śri Umadevi – polska Jogini, ambasadorka kultury polsko-indyjskiej.

Ryszard Sawicki

Wąskie ulice Starego Konstantynopola lśniły zmoczone wiosennym deszczem w świetle ulicznych latarń. Ich lśnienie prześladowało mnie jeszcze wiele miesięcy później, kiedy chodziłem po nagrzanych tropikalnym słońcem ulicach Bombaju. W gorące dni przedmonsunowych miesięcy brakowało mi chłodu wczesnej wiosny, którą zostawiłem daleko nad Bosforem. A brak ten odczuwałem szczególnie mocno, bo musiałem oszczędzać nie tylko na jedzeniu, ale i na piciu, byłem bowiem uchodźcą w

egzotycznym kraju, z którego chciałem jechać dalej. Nie wiedziałem jednak kiedy uda mi się przekroczyć kolejną granicę, czy za miesiąc czy dopiero za rok. Takich jak ja uciekinierów nikt nigdy nie przyjmował z otwartymi rękami.

Uciekinier, uchodźca. Bałem się tych określeń, unikałem wymawiania ich nawet w myśli w ojczystym języku. W języku, którego brzmienie wydawać się musiało wszystkim spotykanym przeze mnie codziennie ludziom równie dziwne jak mnie wydawały się dziwne słowa wypowiadane w hindi czy marathi. Angielskie słowo „refugee" wymawiałem z mniejszym lękiem, bo wydawało mi się neutralne. Brzmiało bardziej bezpiecznie, już choćby z tego powodu, że nie od razu kojarzyło się z takimi słowami jak zesłaniec, więzień. W kontaktach z pracownikami banku, do którego zaglądałem co kilka dni oczekując przekazu pewnej ilości gotówki posługiwałem się angielskim. Tak samo jak w urzędach, gdzie starałem się dowiedzieć o możliwości przedłużenia pobytu.

Próbowałem się dostosować do otoczenia, lecz nie było to wcale łatwe. Zwłaszcza z powodu braku pieniędzy. Nie myślałem wtedy o możliwości zatrudnienia w Indiach. Odwiedzałem jednak takie miejsca jak port w Bombaju i starałem się wypytać marynarzy statków rozmaitych bander o to, czy mógłbym pracować na pokładzie by pokryć koszty podróży. Pracownicy the British Bank of the Middle East odpowiadali mi niezmiennie, że żadnej

przesyłki nie otrzymali na moje nazwisko, a ja, rekonwalescent szpitalny, snułem się po zatłoczonym bruku miejskim niemal mdlejąc w upale. Mogłem tylko żałować, że nie udały się projekty Banku Polskiego z 1829 roku, popierane przez rząd Królestwa Polskiego, by otworzyć rynek dla polskiego cynku. Na statku z cynkiem i innymi towarami wyruszył do Indii urzędnik tegoż banku, Władysław Małachowski, ale jego misja nie powiodła się z powodu wybuchu powstania listopadowego. Chodziłem więc po ulicach Bombaju, nie mogąc liczyć na pomoc żadnego zamożnego rodaka aż dochodziłem do granic wytrzymałości i wtedy kupowałem kolejną butelkę wody. Za każdym razem, gdy podchodziłem do kiosku z wodą przypominałem sobie nierówny bruk wąskich ulic w okolicy Błękitnego Meczetu w Stambule i chłód wiosennego deszczu. Jednak nie tylko ten widok stawał mi przed oczami. Także i widok pustyni, przez które przejechałem w drodze przez Iran i Afganistan. Przeciąłem wtedy, zapewne kilkakrotnie, szlak polskich uciekinierów z Syberii. Tych, którzy z armią polską szli bić się w ogarniętej druga wojną światową Europie i tych, którzy nie mieli sił by udać się gdziekolwiek dalej. Tych, których tysiące znalazły się w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu na ziemi indyjskiej. Było wśród nich czworo moich kuzynów, syberyjskich dzieci, którym dane było w Indiach powrócić do zdrowia po wyjściu z „nieludzkiej ziemi”. O nich też pamiętałem, podchodząc do kiosku z wodą, a także przechodząc obok restauracji i tanich barów, do których jednak nie mogłem wejść, bo, podobnie jak moi krewni w latach

czterdziestych, nie miałem kieszeni wypełnionych rupiami. Indyjskich żebraków podchodzących do mnie z prośbą o jedną rupię wprawiałem w zdziwienie wyciągając rękę, pół żartem pół serio prosząc o parę paisa.

Choć mój los był tylko trochę podobny do losów moich kuzynów, to jednak trafiałem i w Indiach na ich ślady, jak i na ślady innych Polaków, którzy byli w Indiach kilkadziesiąt lat przede mną. W Bombaju mieszkałem w instytucie muzycznym założonym przez Ślązaka, Geogra Prokscha, którego ojciec prawdopodobnie znał mego pradziadka z lasów trembowelskich. On wyratował mnie przed utratą zdrowia, jeśli nie także i życia, posyłając do szpitala, za który zapłaciłem tyle ile płaciłoby miasto za indyjskiego żebraka (szpital należał do katolickiego zakonu, podobnie jak instytut, i był położony na terenach podarowanych przez księdza Prokscha). Nie znał on wprawdzie moich kuzynów, ale lasy Trembowli, w których jego ojciec był leśniczym, były lasami jego dzieciństwa.



Ryszard Sawicki, Słonie, rys., pastel na tle malowanym gwaszem.

Ksiądz Proksch ułatwił mi spotkanie z panią Hirabai Petit. W bogatej dzielnicy Malabar Hill odszukałem jej mieszkanie pod 27 numerem przy Nepean Sea Road. Byłem u niej parę razy z wizytą, częstowała mnie obiadem i wspaniałymi perskimi ciastkami, których smaku nigdy nie zapomnę. Podobnie jak nie zapomnę smaku brytyjskich biszkoptów, których małe paczuszki kupowałem gdzie tylko je zobaczyłem, gdy dostałem wreszcie przekaz bankowy.

Ksiądz Proksch nie znał dokładnego adresu pani Hiry. Na jednym z placów Malabar Hill, w pobliżu Parsee Towers of Silence, znalazłem jednak bez trudu wielki pomnik z podpisem na tablicy z brązu: „Erected by numerous friends and admirers as a tribute to the memory of their distinguished and philantropic fellow citizen Nasserwaiji Maneckji Petit, esq. J.P. in appreciation of his excellent virtues and extensive charity, died 2nd Nov. 1891, aged 64 years" (Pomnik wzniesiony przez licznych przyjaciół i admiratorów ku pamięci filantropa i wybitnego obywatela, Nasserwaiji Maneckji Petita, esq. jako wyraz podziwu dla jego wspaniałych zalet i dobroczynności, który zmarł drugiego listopada 1891 roku w wieku lat 64). Pukając do drzwi kilku mieszkań w sąsiednich kamienicach, dowiedziałem się jaki był adres pani Hiry. Wszedłem do starej, zaniedbanej kamienicy z szerokimi schodami. Na masywnych drzwiach jednego z mieszkań znalazłem kartkę pożółkłego papieru z napisem: „Tibetan Refugees, Maurycy Frydman, H. Petit, Indo-Polish Library" (Uciekinierzy z Tybetu, Maurycy Frydman, H. Petit, Biblioteka Indyjsko-Polska), a poniżej umieszczono jeszcze kilka tybetańskich imion i nazwisk.

Maurycy Frydman (używał też imienia Bharatananda) urodził się w Warszawie w 1901 roku, zmarł tuż przed moim przyjazdem do Indii, w 1976 roku (ja przyjechałem w roku 1977). Do Indii dotarł w 1933 roku, miał pracować jako inżynier przy budowie fabryki przyrządów elektrycznych w Mysore. Budowa fabryki została

ukończona w 1934 roku. W tym samym roku spotkał się z Sri Ramanem Maharishim z Tiruvannamalai koło Madrasu. W 1936 toku poznał Gandhiego, a dwa lata później Krishnamurtiego. Zamieszkał u boku Gandhiego w Sevagram koło Wardha. Był zatrudniony we wspólnocie jako projektant urządzeń dla przemysłu, m.in. zaprojektował kołowrotek do urządzeń włókienniczych. Przebywał wtedy w tych samych kręgach, w których przebywała od 1935 roku Wanda Dynowska, późniejsza tłumaczka wielu książek autorów hinduskich na język polski. Olgierd Budrewicz opisuje spotkanie z nim w domu przy ulicy Nepean Sea w swojej książce „Spotkania z Polakami" wydanej w 1969 roku.

> Maurycy Frydman, niski, szczupły, siwy mężczyzna, przyjął mnie w swym bombajskim mieszkaniu wypełnionym antycznymi, bogato rzeźbionymi meblami, marmurowymi figurkami, uczonymi księgami,

pisze Budrewicz w „Spotkaniach". Przypuszczam, że opisuje mieszkanie Hirabai Petit, u której mieszkał Frydman. *„Zegar ścienny odzywał się kilkakrotnie w czasie naszej rozmowy"*, kontynuuje.

> Po mieszkaniu kręciło się mnóstwo ciemnolicych, a bliżej

> nieokreślonych postaci. Gospodarz przerywał niekiedy opowieść o swym niezwykłym życiu by porozmawiać z kimś przybyłym lub odebrać telefon.

Podczas moich wizyt, po śmierci Frydmana, mieszkanie pani Hiry było puste. Nie było tybetańskiego tłumu, nikt nie przerywał moich rozmów, które odbywały się w zupełnej ciszy. Tylko ścienny zegar wciąż „mówił" tym samym głosem.

Kiedy przychodziłem z wizytą, drzwi z nazwiskami Hirabai Petit i Maurycego Frydmana zapisanymi na pożółkłej kartce otwierała mi stara hinduska służąca. Składała na powitanie ręce i uśmiechając się bardzo serdecznie zapraszała do środka. Podczas pierwszego powitania podałem jej bilet wizytowy, jeden z niewielu, które udało mi się wydrukować za specjalnym pozwoleniem władz w Polsce. Po dłuższej chwili usłyszałem nierówne, z trudem stawiane kroki. W ciemnym korytarzu zjawiła się mała, zgarbiona kobieta o siwych włosach. Jej twarz była jednak prawie zupełnie pozbawiona zmarszczek. Przeszliśmy razem przez pierwszy, duży pokój wypełniony starymi meblami, obrazami, fotografiami i szafami z wielką ilością bibelotów ustawionych na zakurzonych pułkach. Drugi pokój był podobny, lecz lepiej oświetlony, bardziej przestronny. Pani Petit wskazała jedno z krzeseł stojących przy olbrzymim stole, „witam gościa z Polski", powiedziała po angielsku.

Usiedliśmy.

Szybko zorientowałem się, że wymiana zdań nie będzie łatwa. Staruszka próbowała naprzód uruchomić aparat słuchowy, lecz po chwili zrezygnowała z tego, podała mi jeden z grubych zeszytów, które leżały na stole. Miałem zapisywać swoje pytania lub odpowiedzi. Mówiła nieco podniesionym, charakterystycznym dla niedosłyszących osób głosem. Od razu zaczęła mówić o Bibliotece Polsko-Indyjskiej. Powiedziała, że właściwie przestała istnieć po śmierci Maurycego Frydmana, że ona boryka się z trudnościami związanymi z wydaniem ostatniej książki, ale amerykańscy przyjaciele niewiele pomagają, bo jest ich coraz mniej. Odpowiedziałem, że liczę się z możliwością imigracji do Stanów, poprosiła więc bym przekazał kilkanaście listów z prośbą o pomoc. Umówiliśmy się, że przyjdę po nie za kilka dni. Zaprosiła na lunch i obiecała dać jedną z ostatnio wydrukowanych książek.

Na Nepean Sea Road zjawiłem się w piątek o jedenastej. Pani Petit kończyła właśnie przyrządzać sos do makaronu. Stały obydwie ze służącą przy małej kuchence ustawionej w rogu pokoju i kłóciły się o to, co która ma robić. Ja miałem siedzieć przy stole i czytać książkę zawierającą teksty rozmów Maurycego Frydmana z hinduskim guru. Nad głową bezszelestnie obracał się duży wentylator, pani Hira nie dopuszczała do kuchenki służącej, a ta nie chciała jej zostawić

samej. Co chwila pojawiały się nuty zniecierpliwienia w ich głosach, lecz nie było w nich śladu zagniewania. Pani Hira wyszła po coś do spiżarni, wtedy zamieniłem ze służącą kilka zdań na temat panujących upałów. Powiedziała, że tego kwietniowego dnia było ponad trzydzieści stopni, ale do czerwca, kiedy zwykle przychodzą monsuny, jest jeszcze daleko, trzeba zachować cierpliwość. Radziła nie chodzić po nasłonecznionej stronie ulic, co, mimo, że po stronie zacienionej jest zawsze duży tłok, jest znacznie lepszym sposobem poruszania się po indyjskich miastach. Stosowałem się odtąd do jej rady i stwierdziłem, że wymijanie ludzi, przystawanie co krok, a nawet potrącanie przez przechodniów jest mniej uciążliwe niż spacer w słońcu, gdzie kiedyś spacerowali *„tylko szczególnie uparci Anglicy… i wściekłe psy*”, jak powiedziała staruszka (zacytowała popularne powiedzenie z okresu brytyjskiego Raju). Przy obiedzie milczymy, bo nie można przecież jednocześnie jeść i pisać w zeszytach. Potem wracamy do rozmowy o Bibliotece Polsko-Indyjskiej. Pani Hira wręcza mi książkę „Conversations with Sri Nisargadatta Maharaj” przetłumaczoną z marathi przez Maurycego Frydmana a wydrukowaną pod angielskim tytułem „I Am That” (Jestem tym), i każe mi napisać: „from Maurice Frydman”. „Może mam też dodać ‘od Uma Devi’?”, miałem zapytać, ale Pani Hira właśnie podała perskie ciastka, nie umieściłem więc pytania w zeszycie.

Z Wandą Dynowską nie zdążyłem się spotkać. Zmarła w

misyjnym szpitalu w Mysore 2o marca 1971 roku. Nie zdążyłem porozmawiać z nią ani o Bibliotece Polsko-Indyjskiej, ani o jej pracy przy ambasadzie polskiej w Bombaju. Nie zapytałem też czy pamięta kilkunastoletniego chłopca z twarzą naznaczoną zmarszczkami, który miał na imię Franciszek, ani o jego dwóch młodszych braci i siostrę. Franciszka Gana i jego rodzeństwo, moich kuzynów, poznałem w latach osiemdziesiątych w Anglii, gdzie dostali się po długiej rekonwalescencji w Indiach. Ich ojciec był przed wojną komisarzem policji w Buczaczu, a takich ludzi i ich rodziny Sowieci uznali za „szczególnie niebezpiecznych". Oprócz policjantów byli to także oficerowie, nauczyciele, pisarze, księża, urzędnicy administracji państwowej, działacze polityczni, przedsiębiorcy, kupcy, rzemieślnicy, kolejarze, pocztowcy i leśnicy. Spośród moich krewnych i ich znajomych, bardzo wiele osób należało do tych właśnie grup społecznych. Toteż wielu z nich podzieliło los rodziny Ganów. Byli aresztowani, deportowani, ginęli bez wyroku lub z wyroku opartego na fikcyjnych oskarżeniach. Trafiali do łagrów nad Kołymą, pod Świerdłowskiem i w innych rejonach „nieludzkiej ziemi" czyli Kraju Rad.

Po zajęciu Buczacza przez oddziały Armii Czerwonej w 1939 roku komisarz Gan został zamordowany wraz z żoną w swoim domu. Dzieci zostały zabrane z domu, wywiezione na Syberię i umieszczone w oddzielnych obozach. Najstarszy z nich, Franciszek, zdołał sprowadzić rodzeństwo do jednego obozu,

dzięki czemu cała czwórka opiekowała się sobą wzajemnie i mogła przetrwać. Wyjechali z Syberii z Armią Andersa. Ponieważ byli jednak zbyt osłabieni pobytem w łagrach i chorobami, musieli naprzód przejść rekonwalescencję. Skierowano je do Indii, gdzie w lepszym klimacie wracali powoli do zdrowia. Pamiętam, że podczas naszych rozmów w Anglii, Franciszek kreślił na kawałku papieru mapę obozów dzieci polskich w Rosji i kierunki deportacji. Pojawiło się na niej mnóstwo punktów od Morza Białego po jezioro Bajkał, a linie oznaczające przemieszczenia prowadziły z północy na południe i południowy-wschód. Znalazłem odpowiednik tej mapy w publikacji pod tytułem „Z Kresów przez Afrykę" (wspomnienia opracowane przez Ryszarda Sławczyńskiego, wydane przez Klub Muzyki i Literatury we Wrocławiu w 2001 roku). Była ona skopiowana z opracowania Ł. Z. Królikowskiego pt. „Skradzione dzieciństwo" (Kraków 1991). Franciszek mówił o sierocińcach w Indiach, ale wspominał też o osiedlach, które powstały w Afryce. W jego opowieści mieszały się więc nazwy miejscowości z różnych stron świata: Samarkanda, Karaganda, Tomsk, Irkuck, Pahlewi, Karaczi, Kolhapur, Mombasa, Masindi. Brzmiały te nazwy i dla mnie nie obco, bo sam przejechałem przez Turcję, Iran, Afganistan i Pakistan w drodze do Indii, a parę lat wcześniej zwiedzałem Taszkient, Samarkandę i Bucharę podczas studenckiej wycieczki. Jednak nie byłem nigdy we Wschodniej Afryce, dotknąłem tylko północnego krańca tego olbrzymiego kontynentu i to po latach, które upłynęły od naszej rozmowy na

Wyspach Brytyjskich. Franek został w Anglii wykładowcą jednej z uczelni technicznych, miał żonę i dzieci. Pokazywał mi kolorowe zdjęcia ze szkół i uczelni swoich synów, tak różnych od szkół w jakich uczyły się polskie dzieci w latach czterdziestych w Teheranie i Awhazie, gdzie jedynym podręcznikiem był „Polak w Iranie".

Franek opowiadał o swoich przeżyciach wielokrotnie. Nie tylko ja byłem jego słuchaczem. Do Anglii dotarły też inne polskie dzieci z Syberii i Indii. Po latach, założyli oni w Londynie Koło Polaków z Indii. W 2000 roku Koło wydało książkę zawierającą kopie dokumentów i wspomnienia z tamtych lat („Polacy w Indiach 1942-1948 w świetle dokumentów i wspomnień", Londyn, Koło Polaków z Indii, 1942-1948, 2000). O Wandzie Dynowskiej jest tam sporo informacji, podobnych do tych, które ukazały się po jej śmierci w czasopismach polskich publikowanych na obczyźnie. Irena Hradyska była sekretarką Dynowskiej w latach 1946-1948. Obie panie spotkały się na obczyźnie, w Indiach, a połączyła je wspólna praca dla ojczyzny. W tym okresie Dynowska, jak pisze jej sekretarka, przejęła wiele obowiązków zlikwidowanego konsulatu polskiego, z którym była związana w okresie wojny. Kira Banasińska, żona konsula Eugeniusza Banasińskiego, pisała o tej przeprowadzce do swego krewnego Onufrego Korewy, że pod koniec 1944 roku wyjechała z mężem do Lodnynu, gdzie mąż dostał przydział w MSZ, „ale już wszystko się kończyło". Wyjaśniła też, że podobnie jak wielu innych Polaków, nie czuli się

dobrze w brytyjskiej stolicy. Nastroje te podzielał też mój ojciec, który wyjechał z Wysp Brytyjskich do Polski w 1947 ze względu na, jak mówił, „nieznośną atmosferę”. Pani Kira napisała dyplomatycznie w liście do rodziny, że wrócili bo „w Indiach mieli wielu przyjaciół” (list Kiry Banasińskiej z 20 stycznia 1965 roku, wysłany z Indii do Polski, który cytowałem w artykule pod tytułem „Dom na wzgórzu”, Zesłaniec nr 14/2003).



Wanda Dynowska irazem z Maurycym Frydmanem stworzyli Bibliotekę Polsko-Indyjską.

Dynowska i Hradyska umiały ocenić tę atmosferę z dużej

odległości, nie próbowały szczęścia tam, gdzie czuć się mogły jak niechciani intruzi. Hradyska napisała w swoim wspomnieniu o Dynowskiej, że po wojnie zajmowały się z Wandą Dynowską „prostowaniem komunistycznych banałów", co, jak się domyślam, łączyło się z ich działalnością publicystyczną. Tak więc obydwie Polki zajmowały się sprawami narodowymi już po oficjalnym wyjeździe dyplomatów polskich do Londynu. W tym samym artykule Hradyska pisze jednak dużo więcej o wcześniejszej działalności Dynowskiej w Indiach.

> Gdy Uma Devi była pochłonięta walką o niepodległość drugiej ojczyzny, gazety przyniosły do Indii hiobową wieść: 'Dziś nad ranem 1 września Niemcy napadły na Polskę, wojna w Europie'. Z miejsca przedzierzgnąwszy się z kobiety w sari w europejską podróżniczkę, Wanda Dynowska ruszyła w drogę do Polski. Gdy dotarła do Rumunii, zastała uchodźców, rozbite jednostki wojskowe, rząd i ludzi, z którymi kiedyś łączyło ją tak wiele w czasach pracy niepodległościowej z Józefem Piłsudskim. Teraz było już po wszystkim. W pierwszym porywie chciała przedrzeć się do Polski. Iść pod prąd tych, co uciekali na Rumunię. Nie udało się. Pierwszy chyba raz w życiu pokonana, wróciła do Indii. Została zatrudniona w dziale propagandy, przysparzając wielu kłopotów pracownikom MSZ. Nie można sobie wyobrazić dowcipniejszej kombinacji, z jednej strony

> panowie w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach, z minami zapożyczonymi od Edena, pedantyczni, dobrze ułożeni, owijający wszystko w dyplomatyczną bawełnę, traktujący Indusów z pobłażliwą wyższością, zupełnie nie interesujący się kulturą i religią tego kraju, z drugiej strony kobieta depcząca konwenanse bosą stopą w sandałach, odziana w ręcznie tkane samodziały, z czerwoną kropką wymalowaną między brwiami na znak praktykowania hinduizmu, nie dająca się nagiąć do urzędowych godzin, wprowadzająca chaos do szufladek i kartotek, mówiąca wszystko, co na myśli i sercu, bez ogródek. (Wspomnienie Hradyskiej drukowane w londyńskich „Wiadomościach" w 1960 roku).

Muszę przerwać w tym miejscu wywód pani Hradyskiej i dołączyć małe sprostowanie. Otóż, być może wielu pracowników konsulatu polskiego przyjęło maniery ich brytyjskich kolegów, ale nie wszyscy byli „panami w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach" i nie wszyscy ignorowali hinduskie otoczenie. Jedną z najserdeczniejszych przyjaciółek Kiry Banasińskiej była jedna z córek nizama Hajdarabadu (nizam, to, początkowo, jak podaje Wielka Encyklopedia Powszechna, tytuł zarządców prowincji Dekan w Indiach za panowania dynastii Wielkich Mogołów, potem, od 1724 roku, tytuł uzależnionych od tejż4e dynastii władców Hajdarabadu). Pani Kira dzieliła z nią

przez wiele lat mieszkanie w wielkiej willi na wzgórzu nad Hajdarabadem. Obydwie staruszki do późnej starości szanowały się i rozumiały doskonale. Sam to obserwowałem podczas wizyty w Hyderabadzie. Państwo Banasińscy nie mogliby prowadzić tak szeroko zakrojonej pomocy polskim uchodźcom z Syberii, gdyby nie ich bliskie kontakty z Hindusami.

W pomoc Polakom zaangażowana też była Wanda Dynowska. Wprawdzie z konsulatem łączyły ją sprawy służbowe, jednak często dochodziło do starć, a nawet zerwań i rozstań. Hradyska wspomina, że

> nie ona byłą stroną przepraszającą, bo jej kontakty z wysoko postawionymi w świecie induskim osobami były zbyt potrzebne konsulatowi by je wraz z „Umeczką" odrzucić.

Nie chcę wdawać się w dyplomatyczne spory na temat tych kontaktów, oddam więc głos Kirze Banasińskiej, która w swych wspomnieniach zanotowała, że już w październiku 1939 roku zorganizowała w domu spotkanie pań, które zająć się miały organizowaniem pomocy.

> Odzew był natychmiastowy. Powstał komitet pań, które zajęły się gromadzeniem wszelkiego rodzaju darów, głównie

> ubrań, leków i żywności. Dom nasz stał się swoistym karawanserajem, otwartym dla wszystkich grup polskich wojskowych trafiających do Indii z Rosji przez Afganistan. Konieczna też byłą zgoda władz Indii na przyjęcie przynajmniej sierot. Udało się to osiągnąć dzięki osobistym staraniom moim i Eugeniusza (fragment wspomnień opublikowany w dodatku „Plus Minus", Rzeczpospolita, 2000).

Wnosić więc należy z tych cytatów, że współpraca wielu osób, także pań z konsulatu, choć nie zawsze harmonijna, była jednak możliwa. Hradyska pisze zresztą nie tylko o konfliktach, ale właśnie o tej współpracy. Z ramienia konsulatu Dynowska objeżdżała Indie z odczytami o Polsce, zbierała dary dla Polskiego Czerwonego Krzyża, wydawała informacyjny biuletyn w języku angielskim, który był serwisem prasowym naświetlającym sytuację kraju pod obydwu okupacjami. Założyła nie tylko Bibliotekę Polsko-Indyjską, ale i Stowarzyszenie Polsko-Indyjskie.

> Z przyjazdem do Indii 5,000 zesłańców z Syberii i Kazachstanu, zaczął się dla niej nowy, jeszcze czynniejszy rodzaj życia. Na parę lat trzeba było zapomnieć o medytacjach w aszramach induskich. Żywi ludzie, tylko co zwolnieni katorżnicy, a zwłaszcza dorastająca młodzież

> oderwali ją od świata mistyki. Im chciała pokazać Indie, z ich głębią myśli filozoficznej, a Indiom odkryć duszę Polski, jej historię, kulturę. Uważała, że oba narody łączy mimo odległości geograficznej nić podobieństwa. W ciągu pięcioletniego pobytu uchodźców w Indiach była częstym gościem w osiedlach polskich, szczególnie w obozie Valivade koło miejscowości Kolhapur. Na odczytach jej było zawsze przepełnienie (wspomnienie o Dynowskiej, pióra Hradyskiej, publikowane w londyńskich „Wiadomościach" w 1960 roku).

U jej boku i pod jej wpływem dorastało kilkoro ciekawych ludzi, choćby Danuta Irena Bieńkowska, Bogdan Czaykowski i Jerzy Krzysztoń, autor 'Opowiadań indyjskich' oraz dwu powieści „zesłańczo-wolnościowych" zatytułowanych „Wielbłąd na stepie" i „Krzyż Południa". Akcja pierwszej dzieje się w latach 1940-1942 na terenach Kazachstanu i Uzbekistanu, drugiej zaś w latach 1942-1944 w Persji. W obu utworach autor wykorzystuje osobiste doświadczenia i wspomnienia z tamtych lat, których był świadkiem jako dorastający chłopiec. Daje opis zesłańczych dziejów, losów rzesz Polaków zagnanych przez sowieckie władze w dalekie azjatyckie strony, ich trudnych przeżyć, dramatycznych doświadczeń, upartych nadziei (o tych dwóch książkach przypomniał mi prof. Antoni Kuczyński).

Przyjazd Dynowskiej do obozu oznaczał ożywienie życia

kulturalnego, kontrowersje, „kij w mrowisku”. Być może przypominała rodakom o tym, że nie oni pierwsi przybyli z Polski do Indii. Może mówiła nie tylko o Małachowskim, ale i o Krzysztofie Pawłowskim, który wziął udział w portugalskiej wyprawie do Indii w 1596 roku. I o Pawle Palczewskim, który czynił *„wielkie peregrynacje po Indii orientalnej i occidentalnej”*, o czym wspomina w swej „Kolędzie moskiewskiej” wydanej w 1610 roku. Jan Kochanowski napisał wiersz pod tytułem „Nagrobek Kretkowskiego” i podał, że ten kasztelan brzesko-kujawski i gnieźnieński studiował w Padwie, a za Zygmunta Augusta posłował do sułtana tureckiego i był *„gdzie się Ganges toczy”*. Maciej Sarbiewski uczcił też wierszem wyjazd do Indii jezuity Andrzeja Rudominy. W 1736 roku na misję do Malabaru wyruszył z Polski Mikołaj Szostak i został po latach biskupem Werapuli. W książce „Historia de Goa” de Saldhana wspomina o Polaku, który walczył przeciw oddziałom portugalskim w obronie fortu Diu pod imieniem Mustafa Khan. Dostał się do niewoli, pracował przy budowie portugalskich fortów i był znany pod imieniem Gaspar da Gama.



Ryszard Sawicki, India Varanasi, rys, pastel na tle malowanym gwaszem.

Dynowska chciała przybliżyć polskim uchodźcom kulturę Indii. Rozporządzając drobnymi tylko funduszami zebrała na wycieczkę krajoznawczą po Indiach kilkadziesiąt dziewcząt i chłopców. Objechali spory szmat Indii, od Maharasztry, w której był położony obóz, po Cape Comorin, tańcząc i śpiewając w strojach narodowych, zbierając z przedstawień pieniądze wystarczające na przeżycie od postoju do postoju. Pomyśleć tylko jaką energię miała ta już wtedy blisko sześćdziesięcioletnia kobieta", pisała Irena Jeziorkowska, która spotkała Dynowską w Londynie w 1964 roku. Dynowska zjeździła z odczytami o walczącej Polsce prawie całe Indie, dodała Jeziorkowska (Irena Jeziorkowska, „Biblioteka polsko-indyjska", Wiadomości 1964). Podnosiła też rodaków na duchu, wielu chorym ułatwiała dotarcie do lekarzy i do szpitali. Przynosiła ze sobą uśmiech, miłość i niezapomnianą atmosferę. W swojej książce „All for Freedom" (Wszyscy dla wolności) tłumaczyła hinduskim czytelnikom skomplikowane sprawy związane z powstaniem warszawskim.

Po wojnie, jak pisze Hradyska, kiedy Indie odzyskały niepodległość, a w Jałcie przypieczętowano nowy zabór Polski, Dynowska współpracowała nie tylko ze swoją sekretarką, lecz i z Hariszczandrą Bhatem, zatrudnionym wcześniej w polskim

konsulacie, pośmiertnie uznanym za jednego z największych poetów hinduskich. W tym też okresie zajmowała się Biblioteką Polsko-Indyjską. Od 1944 do 1971 roku zostało opublikowanych 127 pozycji w ramach biblioteki. Jednak i wtedy angażowała się w prace społeczne, podobnie jak w Polsce przed wojną i w czasie wojny oraz w Indiach do śmierci Gandhiego.

W 1960 roku, gdy wojska chińskie zalały Tybet i tysiące Tybetańczyków wraz z Dalaj-Lamą uchodzić musiało z Lassy, Dynowska poświęciła się pracy dla uchodźców tybetańskich. Pracuje w Dharmsali w otoczeniu Dalaj-Lamy, potem zostaje przełożoną ochronki dla Tybetańczyków w Bylacupe, sto kilometrów od Mysore. Postawa Hindusów po śmierci Gandhiego głęboko ją rozczarowała, przyjęła więc buddyzm i złożyła śluby zakonne. Wieloletni wysiłek nadwątlił jednak jej zdrowie. Znalazła się w internacie sióstr Nimala Convent w Mysore. Odwiedził ją tam polski ksiądz, Marian Batogowski, wychowawca chłopców Boys Home w Mysore. Wysłuchał spowiedzi, udzielił ostatniego namaszczenia i pierwszej komunii. Zapisał wtedy: „Jeśli kiedykolwiek mogłyby powstać zastrzeżenia natury formalno-prawnej na temat jej powiązań z teozofią i buddyzmem, odpowiedź będę miał jasną i pełną świadomości, iż jeśli podobna postawa i dyspozycja była w całej masie nas, kapłanów i katolików, których bez oporów przyjmujemy i udzielamy sakramentów świętych – bylibyśmy społeczeństwem pięknym i świętym; wierzę, że spełniło się jedno z zaskakujących misteriów

Bożej dobroci i miłosierdzia” (cytat pochodzi z noty biograficznej opublikowanej we wspomnianej już książce „Polacy w Indiach”). Dynowska wróciła przed śmiercią do religii katolickiej. *„Krańcowa jej natura nie mogła w niczym znaleźć umiarkowania”*, napisała Hradyska na zakończenie swego artykułu. Tego, który rozpoczęła od zdania:

> Była tak barwna jak te kolorowe sari okrywające ją przez kilkadziesiąt lat, od chwili gdy wyjechawszy z Polski postanowiła resztę życia spędzić w Indiach.

Sądzę, że jej młodość była tak samo kolorowa jak późniejsze lata. Urodziła się w Petersburgu. Dzieciństwo i młodość spędziła nad jeziorem Istal w polskich Inflantach, wśród przyrody, której umiłowanie graniczyło z kultem. Matka Wandy, Helena z Sokołowskich, wprowadziła córkę w świat duchów przyrody, a sama uchodziła za jasnowidzącą. Matka opowiadała dziecku nie tylko o roślinach leśnych lecz i o elfach i skrzatach. Pokój dziecinny Wandy był wypełniony kłosami zbóż i traw, kwiatami i nasionami kwiatów, gałęziami i zasuszonymi liśćmi. W otwartym domu rodziców w Istalsno skupiało się towarzystwo pisarzy, malarzy i polityków. Tam poznała Tadeusza Micińskiego z Warszawskiego Towarzystwa Mistycznego i odtąd datuje się jej zainteresowanie mistycyzmem. Z wybuchem wojny w 1914 roku wyjechała z matką do Jałty, odwiedziła Moskwę. W 1919

przyjechała do Warszawy i nawiązała kontakt z członkami Towarzystwa. Już wtedy zajmuje się pracą redakcyjną, redaguje czasopismo „Myśl teozoficzna”, a później „Biuletyn teozoficzny”. Tłumaczy też książkę Krishnamurtiego „At the Feet of the Master”. Wszystkim pracom oddaje się z wielkim zaangażowaniem, sprzedała nawet swą biżuterię by móc wyjechać do Paryża na spotkanie z Annie Besant i Krishnamurtim. Studiowała w Krakowie, Lozannie i Paryżu. Podczas przewrotu w 1926 roku była kurierką marszałka Józefa Piłsudskiego, a jej poglądy życiowe i pisarstwo kształtował profesor Limanowski.

O życiu prywatnym Dynowskiej niewiele jednak wiadomo. Kazimierz Tokarski twierdzi, że miała narzeczonego imieniem Szczęsny, który zginął w potyczce z wojskami sowieckimi pod Baranowiczami w 1920 roku. Podobno bardzo odczuła tę śmierć i dlatego pozostała samotną osobą przez resztę życia. Choć nie spotkałem się z Wandą Dynowską podczas podróży indyjskich, jej obecność w Bombaju i innych miastach wydawała mi się uchwytna. I nie tylko w Indiach. Myślałem o jej pracy już wtedy, gdy z kuzynem Franciszkiem i jego rodzeństwem rozmawialiśmy w Anglii o ich cudownym niemal uratowaniu z bolszewickiej katorgi. Książki, które tłumaczyła i kolportowała, docierały do Polski nawet przed moim wyjazdem z kraju w 1977 roku.

Kiedy stanąłem pod drzwiami domu przy Nepean Sea Road,

pomyślałem o niej raz jeszcze. Chodziłem po Bombaju po jej śladach, a nawet i w Hyderabadzie, patrząc na pogrążoną w lekturze Koranu córkę nizama, przyjaciółkę Kiry Banasińskiej, wydawało mi się, że widzę postać Dynowskiej pochyloną nad stronami Bhagavad Gity.

Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara.



Wojciech Kilar, fot. Andrzej Grygiel, PAP.

Barbara Gruszka-Zych

Fragment książki „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara” Wyd. Niecałe 2015.

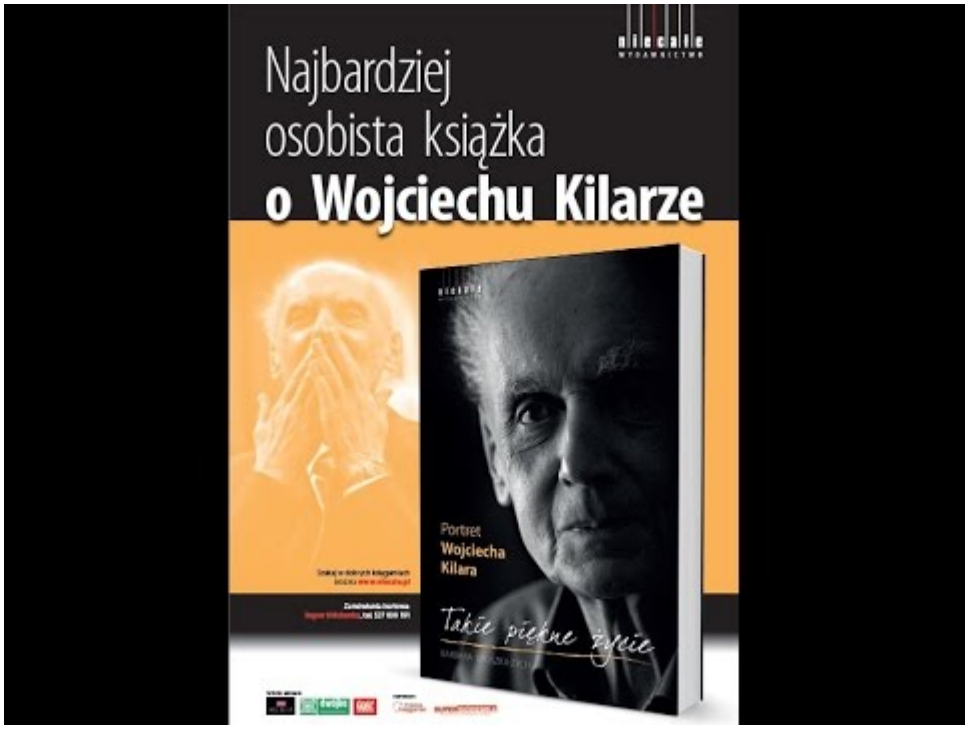
Czy ty nigdy nie tęskniłeś za miłością? – pyta Wiktora, bohatera „Panien z Wilka” Jarosława Iwaszkiewicza, jego doświadczony przez życie wujek.

Wojciech Kilar nie musiał tęsknić za miłością. On ją miał. Kiedy przez sześć kolejnych Wigilii po śmierci ukochanej żony Barbary dzwoniłam do niego z życzeniami, odbierał telefon, witając mnie wcale nie smutnym głosem. Na koniec pytałam: – Jest pan w domu sam? Ale nauczona jego wcześniejszymi odpowiedziami, natychmiast się poprawiałam: „To znaczy, z żoną" . – Tak, z żoną – słyszałam, jak uśmiechał się do słuchawki i już wiedziałam, że był gdzieś na swoim Mont Blanc, skąd lepiej widać tych, którzy już odeszli. W minionym roku wjechałam kolejką pierwszy raz w życiu na Aiguille du Midi, szczyt położony tuż pod Mont Blanc, i stąd się wzięło to porównanie. Tam, na wysokościach, słychać było, jak młyny czasu skrupulatnie mielą każdą sekundę, strząsając okruchy w dół. Octavio Paz w książce *Podwójny płomień. Miłość i erotyzm* napisał: „Każda miłość jest nieszczęśliwa, bo jej tworzywem jest czas, który upływa". Ale też dopowiedział krzepiąco: „Miłość jest intensywnością i dlatego rozciąga czas: wydłuża minuty w stulecia".

Miłość Wojciecha Kilara do ukochanej Basi trwała już w tym rozciągniętym w nieskończoność czasie wiecznym, zawieszonym ponad szczytami doczesnych miłości.

– Od czasu jej śmierci najchętniej siedzę w domu – powiedział mi. – Idę spać o trzeciej, czwartej rano, wstaję dopiero o jedenastej. Chyba że muszę załatwić coś ważnego. Tu wszystko jest takie jak za jej życia, tu jest wręcz dotykalna. Podpowiada mi nawet

poprzez znaki. Nie jakieś mistyczne, ale takie dorady „z góry”, co mam na przykład w danej chwili zrobić. Kiedy mam problemy z rozwiązaniem w jakiejś powstającej kompozycji, a żona mi się przyśni, rano odnajduję właściwy trop. Wielu ma podobne doświadczenia ze swoimi zmarłymi. Wiem, że pracy twórczej oczekuje ode mnie również teraz, często z nią rozmawiam, odwiedzam jej grób – zwyczajnie wierzę w świętych obcowanie.



Wojtek żył dzięki Basi.

Kiedy Kilar za dużo pił, sama przestała całkowicie używać alkoholu. Za najcenniejszy przedmiot w domu Wojciech Kilar uważał stare sito. Wygięte, z popękanego plastiku. Traktował je jak relikwię, bo pamiętało dotknięcie rąk ukochanej Basi. Ich miłość przetrwała burzliwe okresy w życiu kompozytora, jego

pijaństwo, wyjazdy do Ameryki. I ciężką chorobę żony, gdy z pięknej kobiety zmieniała się w staruszkę.

Nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy pani Basia poruszała się na wózku, rzucało się w oczy niesamowite oddanie małżonków. Starali się bez powodu nie oddalać od siebie ani na chwilę. Wydaje się, że pan Wojciech mógłby wtedy powtórzyć za starym Miguelem de Unamuno przejmujące słowa o ukochanej: „Nie czuję już nic, gdy dotykam nóg mojej żony, ale kiedy ją te nogi bolą, bolą mnie też moje”. *

– Widzę, jacy nieszczęśliwi są ludzie pozbawieni miłości – powiedział mi kiedyś. – Nawet nie wiedzą, co tracą. Miłość to największy dar, a gdy się kocha, to też się cierpi. Miłość do mojej żony to największa łaska, jaką dostałem od Boga.

Razem z tą łaską przyjmował na siebie ciężar jej bólów, chorób, cierpienia, które niesione przez ich dwoje, wydawało się odrobinę mniejsze. Ona jak mogła pomagała mu funkcjonować społecznie. Pod koniec życia neuropatia nie pozwalała jej nawet podnieść słuchawki telefonu. Ale wcześniej przez lata ciepłym głosem witała w imieniu męża dzwoniących i zwykle znajdowała czas na krótką rozmowę. Na przykład któregoś dnia wyjaśniła mi, że pana Wojciecha dopadły związane ze zmianą pogody zawroty głowy i odpoczywa w łóżku, ale radziła, żebym zatelefonowała nazajutrz.



Wojciech Kilar z żoną Basią (po prawej) i autorką Barbarą Gruszką-Zych, fot. arch. BGZ.

Lubili trzymać się za ręce

– Oni nie mogli bez siebie żyć – mówi doktor Jacek Bera. – Wojtek starał się robić wszystko, co było najlepsze dla Basi. Kiedyś przyszliśmy do niej na urodziny. Na stole leżał talerz z pokrojonym w kostkę chlebem ułożonym przez Wojtka w kształt serca. Jej już było trudno gryźć i w ten sposób chciał ułatwić jej

posiłek. Ich życie składało się z takich drobnych gestów czułości.

Pod koniec naszego pierwszego spotkania w ich domu poprosiłam o wspólne zdjęcie z kompozytorem. Zgodził się na jedno, na którym stoimy obok siebie, ale do kolejnego zaprosił żonę. Nie chciał być na nim sam, przywołał ją z drugiego pokoju, ubraną w błękitną sukienkę. Kiedy oglądam tę fotografię, wydaje mi się, że wyraża jego stosunek do ukochanej. Pan Wojciech stoi w pewnej odległości ode mnie, za to lekko przytulony do żony i delikatnie trzyma jej dłoń, jakby wyszli na pierwszy wspólny spacer. Widać, że wie, jakie cenne jest świętowanie miłości każdym gestem. To, że lubili trzymać się za ręce, można dostrzec też na innych fotografiach. Ani przez moment nie chcieli zapominać, że ich uczucie stale musi być młode. To ona, trzymając go za rękę, wiodła go przez zakręty życia, wyprowadzając na prostą.

Pan Wojciech, opowiadając mi o filmach, które go poraziły wyłącznie obrazem, wymienił na pierwszym miejscu „Lawrence'a z Arabii" Davida Leana: – Jest tam niesamowity fragment, kiedy kamera na długo zatrzymuje się na widoku pustyni, a dopiero potem, gdzieś na horyzoncie, pojawia się mały punkcik, postać, która zbliża się, rośnie.

Kiedy stwierdziłam, że ta osoba, która z każdym dniem staje się bliższa może być metaforą jego żony, potwierdził: – Doceniałem

ją za życia, ale jeszcze bardziej z dzisiejszej perspektywy.

Nasza miłość była jak skała

Poznali się w 1954 w Katowicach. Basia, urodzona w Warszawie, mieszkała w stolicy Górnego Śląska z mamą, dziadkami i jedną z sióstr. Ojca straciła w Oświęcimiu, kiedy jeszcze była małą dziewczynką.

– Gdy się spotkaliśmy, miałem 22 lata, byłem już na roku dyplomowym Akademii Muzycznej, a ona miała 18 lat i była w klasie maturalnej – opowiadał. – To był natychmiastowy piorun, który trafił Michaela Corleone w „Ojcu chrzestnym" Coppoli. Mignęła mi gdzieś na schodach dzisiejszej Akademii Muzycznej w Katowicach [wtedy na parterze budynku mieściło się Liceum Muzyczne, a na piętrze – Akademia – przyp. autorki]. Przydarzyło mi się to nie jak jemu, wśród spalonych upałem sycylijskich pól, tylko na zakręcie szkolnych schodów. Tak sobie czasem myślę, że te kilka sekund lub minut nadało bieg mojemu życiu, które mogłoby potoczyć się w zupełnie innym kierunku, gdybym poznał osobę o innych poglądach na świat. Gdybym wtedy tam nie przechodził, może Basia nigdy by mi nie wpadła w oko. Już w pierwszej chwili poczułem, że jesteśmy stworzeni dla siebie, jak się to banalnie mówi.

Potem – ale to są sprawy bardzo osobiste – jeszcze przez jakiś

czas nie byliśmy razem. Zdarzały nam się chwile trudne przed naszym późnym ślubem, bo byłem już wtedy w wieku Chrystusowym. Nasz związek, perspektywa, że będziemy razem, nie była pewna. Sporo się wtedy wycierpiałem. Ale jestem Bogu za te ciężkie momenty wdzięczny, bo dzięki nim potem układało nam się tylko lepiej. Może przez te doświadczenia w następnych latach nasza miłość była jak skała. W młodości miałem okres zabawowy – w Paryżu i po powrocie z niego. Ale to tak miało być, bo dzięki temu poznałem dwie różne odsłony życia. Za nic nigdy nie złorzeczyłem Bogu, tylko starałem się zrozumieć Jego logikę.

Znali się dwanaście lat, zanim w kwietniu 1966 wzięli ślub w katedrze pw. Chrystusa Króla w Katowicach. Z tego dnia, oprócz radości, że przed Bogiem przysięgli sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską, zostało mu wspomnienie ostatniego spotkania z ważnym dla nich obojga dziadkiem żony, Andrzejem Bajdą, który był też dziadkiem aktora Bogumiła Kobieli i ważną postacią powojennych Katowic. W rodzinie nazywano go „dziadeczkiem”, a jego portret wisi na ścianie domu w Tenczynku. – Miał wówczas 92 lata – wspominał – i leżał chory w szpitalu. Zaraz po ceremonii ślubnej pojechaliśmy go odwiedzić. Pamiętam, że uścisnął mnie szczególnie mocno, moją Basię również, ale mnie jakoś tak w pierwszej kolejności. Bardzo się cieszył z naszego ślubu. Wygląda na to, że na nas czekał, bo gdy wróciliśmy do gości, dotarła do nas wiadomość, że kilka minut później zmarł.



Wojciech Kilar i Barbara Gruszka-Zych, fot. ach. BGZ.

Bez przerwy do niej telefonował

W wywiadzie do gazety parafialnej „U Jezusa i Maryi”, który przeprowadziła z nim Krystyna Kajdan, jego współparafianka, dyrektorka Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”, opowiadał: – Byliśmy dojrzali, by podjąć wspólne życie, które przez ponad czterdzieści lat było bardzo szczęśliwe, bez najmniejszych konfliktów; można powiedzieć, że było pełne cudownych dni, przeżytych w ogromnej jedności. Moją żonę cechowała wzruszająca ufność i całkowity brak podejrzliwości.

Tworzyli tak zgraną parę, że nikogo z bliskich nie zdziwiło, kiedy trzynaście lat przed śmiercią pana Wojciecha obydwoje małżonkowie stracili słuch w tym samym, lewym uchu. Obserwując ich, każdy był pewien, że rozumieją się bez słów.

Kiedy jeszcze była zdrowa, jeździli zwykle razem, ale w dłuższe podróże, do Ameryki czy Australii, wybierał się sam. Wtedy nie można się było dodzwonić do jego żony, ani na komórkę, ani na telefon stacjonarny, bo bez przerwy do niej telefonował, informując o każdym kroku. W tamtych czasach koszty rozmów z zagranicy były duże. Musieli sobie opowiadać, co im się wydarzyło i pewnie radzić się siebie. Choć on chlubił się tym, że Basia go nie pouczała, nie ustawiała życiowo. – Nie strofowała mnie, nie prawiła morałów, ani razu mnie nie napomniała – opisywał żonę. – Nigdy na nic nie zwracała mi uwagi, nie mówiła „nie rób tego, czy tamtego”, tylko dawała własny przykład. A to jest najskuteczniejsze. To był jeden z najbardziej wyrazistych przykładów – świadectwo jej życia. Widziałem, jak żyje, i nie mogłem wobec tego pozostać obojętny. Kiedy za dużo pił, sama przestała całkowicie używać alkoholu. – Gdy widziała, że wolę zaglądać do kościoła, kiedy nie było tam ludzi, bo wtedy lepiej udawało mi się skupić, jeszcze gorliwiej chodziła na Msze św. i modliła się w mojej intencji – mówił mi. – Tak jak wszystkie najcenniejsze łaski Boże przychodzą do nas przez kobiety, tak i te przyszły do mnie przez moją Basię.

– Swoją codzienną postawą i przykładem takiej wprost promieniującej świętości – nie boję się użyć tego słowa – nawracała wszystkich wokół, ale przede wszystkim mnie – opowiadał Krystynie Kajdan. – Zawsze byłem człowiekiem wierzącym, lecz przez wiele lat byłem „katolikiem, ale…”. Szczęśliwie zostałem obdarzony jednym z darów Ducha Świętego, a mianowicie bojaźnią Bożą. Zawsze czułem, że Ktoś na mnie patrzy i bałem się tego Oka, natomiast moja wiara była bardziej kontemplacyjna. Słodycz płynącą ze wspólnoty i dyscypliny, jeśli chodzi o sakramenty, zawdzięczam właśnie żonie, która sama chodziła na niedzielne Msze św. i obserwowała ten mój „katolicyzm, ale…”. Później uczestniczyliśmy już w nich razem i to było cudowne.

Najważniejsza jest miłość do żony

– Basia była szyją związku i umiejętnie potrafiła kręcić głową męża – uważa doktor Jacek Bera.

– Wojtek żył dzięki Basi – mówi Elżbieta Grocholska-Zanussi. – Na początku mieli trudne przejścia z powodu jego picia, ale ona odtworzyła w nim człowieka. Ze swoją łagodnością, wyrozumiałością była dla niego życiowym zabezpieczeniem. Kiedy został abstynentem, lubili siedzieć razem w domu, żeby, wychodząc na imprezy, gdzie lała się wódka, nie kusić licha. Z czasem było im tak ze sobą dobrze, że reszta świata mogłaby nie

istnieć.

– Zapamiętałam ich jako piękną, zakochaną parę, która na szarej ulicy Warszawskiej w Katowicach wyglądała nieziemsko – opowiada Anna Sekudewicz-Rączaszek. – To był początek lat sześćdziesiątych. Ona, wysoka, szczupła brunetka o zielonych oczach, w rockandrollowej spódnicy w kolorowe paski i modnym wtedy obcisłym sweterku, on wysoki, szczupły, elegancki. Do dziś widzę, jak idą ulicą Warszawską, trzymając się za ręce, jakby zjawili się tu z innego, lepszego świata.

Żona pana Wojciecha uczyła mojego brata Witka gry na fortepianie w Ognisku Muzycznym im. Siliwskiego. Ja chodziłam tam na zajęcia taneczne. Poznałam kompozytora już wcześniej, przez moją mamę Barbarę. W Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach była asystentką prof. Markiewiczówny, która uczyła też pana Wojciecha. Jako mała dziewczynka często spotykałam go na koncertach. Kiedy przyjeżdżał swoim renault, żeby po zajęciach odebrać żonę, mój brat biegł i przyklejał nos do szyby jego samochodu, który był wyjątkowy, bo zagraniczny. Wyglądali na bardzo dobre małżeństwo, a po latach, kiedy odwiedzałam ich przy okazji nagrań do swojej audycji, to się potwierdziło. Kiedyś zapytałam pana Wojciecha, co jest dla niego w życiu najważniejsze, uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem: „Pani myśli, że moja muzyka? Nie, najważniejsza jest miłość do żony”.



Wojciech Kilar i Barbara Gruszka-Zych, fot. ach. BGZ.

Barbara Gruszka-Zych

Wojciechowi Kilarowi (fragmenty)

„Życie jest bowiem czymś więcej niż pokarm, a ciało niż odzienie” św. Łukasz 23, 12

śmierć odjechany kawałek

nie do zagwizdania

to ona gwiżdże nam na nosie

teraz wynosi się nad życie

zamiast klucza do drzwi

czarny klucz wiolinowy

wynoście się krzyczy wszystko

co nas tu zatrzymuje

i wynoszą z nas jeszcze jeden ocalony dzień

zwykle w markowej koszuli Hugo Bossa

teraz w marki ziemia

na tej najniższej półce

czeka na nas czarna

zawsze gotowa do przebrania

teraz tylko zdjęcia rentgenowskie

i te z wakacji pamiętają ciało

niosą tę pamięć

na swoich zimnych plecach

jak trumnę

nie wiem gdzie jest ta głowa

na której żaden włos już nie liczony

włosy kto je głaska przed spaleniem

czerwone palce płomieni przeczesują ciało

w wielkim domu patrzył przez wideo-domofon na ulicę

teraz ulica patrzy że nie ma jednego pana

nie czuje jego zapachu nie słyszy skrzypienia butów

z nosem przy chodniku tropi jego ślady tak jak opuszczona

muzyka szuka swojego pana a tu pan u Pana

nie widziałam jaka muzyka za nim stoi

tak dobrze się chowała kiedy otwierał drzwi

schylał głowę nad moją białą dłonią

pomagał zawiesić płaszcz teraz zawiesili nekrolog

na wejściowej furtce schylam przed nim głowę

wcisnął się jak czarnoksiężnik do urny

dobry żart

jak można się tak skurczyć

z przystojnego mężczyzny w kilka garści prochu

trzeba wziąć się w garść myślą idący w kondukcie

wie pani wie pani

proszę pana nic nie wiem

o pana śmierci

nie znam jej nawet z rozmowy

dopuszcza do niej tylko jednego